Mack Reynolds

Walka

(Combat)

Analog Science Fact & Fiction, October 1960
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Henry Kuran odpowiedział na posłane mu z kilku miejsc kiwnięcia głową, odkrzyknął na powitanie zza biurka o jeden rząd dalej, niż ten koło którego szedł, i w końcu dotarł do drugiego końca pomieszczenia. Zapukał do drzwi i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

Stały tam trzy biurka. Nie poznawał dwu z dziewczyn, które uniosły znad nich wzrok po jego wtargnięciu. Jedna z nich zaczęła coś mówić, ale Betty, której biurko broniło wejścia do wewnętrznej świątyni, uśmiechnęła się szeroko na jego widok i powiedziała:

— Hank! Jak tam Peru? Czekaliśmy na ciebie.

— Pełno Inków — odpowiedział z równie promiennym uśmiechem. — Inków, Ruskich i Chinoli. Biedny kapitalistyczny konkwistador nie ma najmniejszej szansy. Szef u siebie?

— Czeka na ciebie, Hank. Na razie.

Hank odparł:

— Hm-m-m — i kiedy po dotknięciu przez Betty przycisku, kliknął zamek w drzwiach, wszedł do gabinetu szefa.

Morton Twombly, kierownik departamentu, zerwał się na nogi, pośpiesznie uścisnął mu dłoń, zapraszając drugą ręką na krzesełko.

— Jak stoją sprawy w Peru, Henry? — Jego głos nie wyrażał zbyt wielkiego prawdziwego zainteresowania.

Hank wzruszył ramionami:

— Rozmawialiśmy przez telefon jakiś tydzień temu, panie Twombly. Mniej więcej bez zmian. Nie, cholera, coś jest. Chińczycy właśnie wypuścili swój nowy Samochód Ludowy. Próbują czegoś podobnego, co my z naszym jeepem kombi, piętnaście lat temu.

Twombly drgnął z irytacją.

— Słyszałem o tym.

Hank wyjął z kieszeni na piersi chusteczkę i zaczął przecierać swoje szkła bez oprawek. Oznajmił miarowym głosem:

— Sprzedają go za nieco poniżej dwustu dolarów.

— Dwieście dolarów? — Twombly wykrzywił twarz. — Za tyle, to nawet nie przewiozą ich z Chin.

— I tu znów wracamy do początku — westchnął Hank. — Nie mogą również sprzedawać podgrzewaczy ciśnieniowych po dolarze za sztukę, ani aparatów z obiektywami f.2, po pięć dolców. Nie mówiąc już o tym, że Czesi nie mogą sprzedawać butów po piętnaście centów za parę, a Ruscy nie mogą sprzedawać benzyny premium po pięć centów za galon.

Twombly wymamrotał:

— Przebijają nasze ceny szybciej, niż my możemy zorganizować głosowania dla nowych subsydiów. Czym to się skończy, Henry?

— Nie wiem. Może powinniśmy znacznie więcej o tym pomyśleć dziesięć, czy piętnaście lat temu, kiedy wszyscy najlepsi ludzie, jakich dało

się znaleźć na naszych uniwersytetach, przeszli do reklamy, show-biznesu i sprzedaży – podczas gdy wszyscy najlepsi ludzie, jakich mogli zebrać Ruscy i Chińczycy, poszli do nauki i przemysłu. — Jako człowiek działający w polu, Hank Kuran czasami czuł gorycz z powodu tych spraw i nie przegapił sposobności, by wygłosić swoje myśli przed szefem.

Hank dodał jeszcze:

— U nich wybór do Akademii Nauk jest największym osiągnięciem. Nasza młodzież nazywa naukowców jajogłowymi, a największym osiągnięciem jest zostać piosenkarzem w telewizji, albo gwiazdą filmową.

Morton Twombly obrzucił swego najlepszego agenta polowego szybkim spojrzeniem.

— Zabrzmiało to tak, jakbyś potrzebował wakacji, Henry.

Henry Kuran roześmiał się.

— Niech się pan mną nie przejmuje, szefie. W zeszłym tygodniu wdałem się w awanturę z Węgrami i nie jestem w najlepszym nastroju.

Twombly stwierdził:

— No cóż, nie ściągnęliśmy cię z powrotem do Waszyngtonu na naradę handlową.

— Zrozumiałem to z pańskiego telegramu. Po co więc tutaj jestem?

Twombly odepchnął do tyłu krzesło i wstał. Hankowi nagle się wydało, że szef znacznie się postarzał, od czasu utworzenia tego departamentu, niemalże dziesięć lat temu. Przemknęła mu przez głowę myśl, *generał w czasie zimnej wojny. Generał który brał udział w akcji przez dekadę, nigdy nie wygrał niczego więcej niż potyczka, a obecnie znajdował się w pełnym odwrocie*.

Morton Twombly odparł:

— Sam nie jestem tego pewien. Chodź ze mną.

Wyszli z biura tylnymi drzwiami i Hank znalazł się na nieznanym terenie. Bez słowa szef prowadził go pełnymi zajętych ludzi korytarzami, z których każdy był bliźniaczo podobny do poprzedniego, każdy był sterylny i zimny, pomimo krzątaniny. Doszli do drzwi pilnowanych przez żołnierza piechoty morskiej, zostali przez nie przepuszczeni, po raz kolejny ewidentnie ich się spodziewano.

Znajdujące się w środku biuro było puste, poza jednym biurkiem, zajmowanym przez młodzieńczo energicznego majora sił lądowych. Obrzucił Hanka jednym po drugim spojrzeniem i powiedział:

— Pan Hennessey czeka na pana, sir. Czy to pan Kuran?

— Zgadza się — odparł Twombly. — Ja nie będę potrzebny. — Zwrócił się do Hanka Kurrana. — Zobaczymy się później, Henry. — Podali sobie ręce.

Hank spojrzał na niego ze zmarszczonymi brwiami:

— Zabrzmiało to, jakbyście chcieli mnie zesłać na Syberię, czy coś podobnego.

Major ostro uniósł wzrok.

— A co to miało znaczyć?

Twombly machnął przecząco ręką.

— Nic. Żart. Zobaczymy się później, Henry. — Odwrócił się i wyszedł.

Major otworzył inne drzwi i wprowadził Hanka do pomieszczenia o rozmiarach dwa lub trzy razy większych od biura Twombly'ego. Hank gwizdnął w myślach kiedy nagle zdał sobie z tego gdzie się znajduje. To było najświętsze miejsce Sheridana Hennesseya. Sheridana Hennesseya, prawej ręki, człowieka od nieprzyjemnych zadań, alter ego, jednoosobowego sztabu – dwóch kolejnych prezydentów.

Który zresztą czekał na niego, siedząc w ciężkim fotelu. Hank wiedział o jego chorobie, że jego rozmówca dopiero co wstał ze szpitalnego łóżka i to wbrew zaleceniom lekarzy. Ale jakoś nie spodziewał się, że będzie on wyglądał tak marnie. Kamerzyści telewizyjni i agencji informacyjnych, byli dla niego uprzejmi.

Jednakże jego kiepska kondycja nie rozciągnęła się jeszcze na oczy ani na głos. Sheridan Hennessey wyrzucił z siebie:

— To byłoby wszystko, Roy — i major pozostawił ich samych.

— **P**roszę usiąść — powiedział Hennessey. — Nazywa się pan Henry Kuran. To nie jest rosyjskie nazwisko, nieprawdaż?

Hank znalazł krzesło.

— Brzmiało ono Kuranchov. Mój ojciec zamerykanizował je, kiedy się żenił. — Dodał jeszcze: — Mniej więcej raz na każde sześć miesięcy jakiś geniusz z Departamentu Sprawiedliwości albo CIA, wpada na to, że moje nazwisko oryginalnie pochodzi z rosyjskiego i jestem na okrągło sprawdzany.

Hennessey spytał:

— Ale pański rosyjski jest perfekcyjny?

— Tak jest, panie generale. Moja matka była pochodzenia anglo-irlandzkiego, ale mieszkaliśmy w społeczności z całkiem sporą liczbą emigrantów urodzonych w Rosji. Nauczyłem się języka.

— Dobrze, panie Kuran, jak pan się zapatruje na kwestię umierania dla swego kraju?

Kuran popatrzył na niego przez dłuższą chwilę. Potem powoli odparł:

— Mam trzydzieści dwa lata, jestem zdrowy, całkiem rozsądnie przystosowany do życia i szczęśliwy. Nie spodobałoby mi się to.

Chory człowiek parsknął.

— To idealnie właściwa odpowiedź. Nie ufam bohaterom. A teraz, jak wiele pan słyszał o przybyszach spoza Ziemi?

— Przepraszam bardzo?

— Nie słuchał pan wiadomości w czasie ostatnich paru dni? Jak, u diabła, mógł pan to przegapić? — Hennessey popatrzył na niego, krzywiąc się jakby zjadł cytrynę.

Hank Kuran nie miał pojęcia o czym mówi jego rozmówca.

— Jeszcze dwa dni temu byłem w miasteczku Machu Picchu w Andach, próbując sprzedać Peruwiańczykom trochę sprzętu górniczego. Sprzedać, do diabła! Praktycznie polegało to na próbie wciśnięcia im go niemal za darmo, ponieważ ciągle było pół na pół, że Węgrzy mnie przebiją. Potem otrzymałem pilną depeszę od Mortona Twombly, żebym jak najszybciej

pędził do Waszyngtonu. Przyleciałem tutaj odrzutowcem Sił Powietrznych. Nie słyszałem żadnych wiadomości od dwóch dni, a nawet dłużej.

— Polecę majorowi, żeby przekazał panu wszystkie materiały, jakie mamy pod ręką, będzie pan mógł je przeczytać w samolocie do Anglii.

— Samolot do Anglii? — pustym głosem powtórzył Hank. — Panie generale, proszę posłuchać, pracuję w Departamencie Rozwoju Ekonomicznego Krajów Niezaangażowanych, specjalizuję się w Ameryce Południowej. Co ja niby mam robić w Anglii? — Prześladowało go niepokojące poczucie, że jest mocno popychany w określonym kierunku, i podejrzenie że nie po raz pierwszy Sheridan Hennessey bezceremonialnie traktuje swoich podwładnych.

— To będzie pierwszy etap w drodze do Moskwy — rzucił ostro Hennessey. — Szczegóły przekaże panu później major. Ja dam panu tylko krótkie wprowadzenie. Dwa dni temu, na Placu Czerwonym wylądowali przybysze spoza Ziemi, w czymś w rodzaju statku kosmicznego. Nasi Ruscy przyjaciele narzucili mediom cenzurę. Jak do tej pory nie mamy żadnych zdjęć, a wszystkie wiadomości pochodzą z Tassa.

Hank Kuran wpatrywał się w niego z wybałuszonymi oczyma.

Hennessey skinął głową.

— Tak, wiem. Przez większość czasu sam w to wszystko ciągle nie mogę uwierzyć. Pozaziemskie istoty reprezentują, jak to nazwali Ruscy, Konfederację Galaktyczną. Na ile jesteśmy w stanie powiedzieć, jest to coś w rodzaju ligi, Planet Zjednoczonych, czy jak pan tam chce to nazwać, innych systemów gwiezdnych, które osiągnęły pewien poziom rozwoju naukowego.

— Eeee… eeee. Ale dlaczego nie pojawiali się wcześniej?

— Niewykluczone że pojawiali się, przez całe stulecia. Jeśli tak było, utrzymywali swoją obecność w tajemnicy, sprawdzali poziom naszego rozwoju i odlatywali. — Hennessey parsknął z oburzeniem. — Widzi pan, Kuran, ja nie znam żadnych szczegółów. Wszystkie nasze informacje pochodzą z Tassa, i może pan sobie wyobrazić, jak one są niepełne i niedokładne. A teraz, niech pan się zamknie i wysłucha tych niewielu faktów, jakie znam.

Henry Kuran rozsiadł się na swoim krześle, czując się słabo. W czasie ostatnich paru minut dostał zbyt wiele nieoczekiwanych wieści, żeby był w stanie je przyjąć.

— Oni najwyraźniej trzymają się z daleka, do czasu zanim planeta nie rozwinie się do poziomu lotów międzyplanetarnych i energii atomowej. A, oczywiście, w czasie ostatnich paru lat, nasi ruscy kumple nie tylko założyli bazę na Księżycu, ale wysłali parę swoich różnych ekspedycji na Wenus i Marsa.

— Żadna z nich nie osiągnęła celu — zauważył Hank.

— Najwyraźniej nie musiała. W każdym bądź razie, przybyli plenipotenci z Konfederacji Galaktycznej.

— Czego chcą, panie generale? — spytał Kuran.

— Nie chcą niczego, tylko nam pomóc — odparł Hennessey. — Proszę mi nie przerywać. Nasz czas jest ograniczony. Za pół godziny znajdzie się pan na pokładzie odrzutowca do Londynu.

Zauważył wyraz twarzy Hanka Kurana i pokręcił głową.

— Nie, to nie jest tak bardzo pozbawione sensu. Te inne istoty inteligentne muszą być obznajomione z warunkami jakie są niezbędne dla osiągnięcia poziomu lotów międzyplanetarnych. To wymaga także określonego poziomu agresywności gatunku – obok jego inteligencji. I dlatego muszą mieć na tyle oleju w głowie, że nie będą chcieli dopuścić by jakiś agresywny gatunek wylał im się w gwiazdy. Nie życzyliby sobie przecież odpowiednika Attyli, uderzającego na granice Cesarstwa Rzymskiego. Chcą nas skanalizować, i dlatego chętnie udzielą nam pomocy, żeby skierować naszą relatywnie świeżą wiedzę naukową na ścieżki, które nie doprowadzą do konfliktu z nimi. Chcą nas pokojowo wprowadzić do swego społeczeństwa, zaawansowanych istot żywych.

Sheridan Hennessey pozwolił sobie smutny grymas.

— To była całkiem niezła przemowa, co? W każdym bądź razie, tak przedstawia się sytuacja.

— No dobrze, ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Obawiam się, że należę do tych raczej oszołomionych.

— Tak. Nie cóż, niech to diabli, oni wylądowali w Moskwie. Bez wątpienia założyli, że blok sowiecki – Związek Radziecki, Chiny i ich satelity – są dominującą siłą na naszej planecie. Nasze konflikty, nasze spory, prawdopodobnie niewiele ich interesują, jeśli w ogóle. Nieumyślnie, dali Sowietom do ręki broń, która może zakończyć tę zimną wojnę, którą toczymy już od ponad dwudziestu pięciu lat.

Człowiek będący prawą ręką prezydenta, popatrzył w narożnik pomieszczenia, niewidzącym wzrokiem.

— Już od ponad dekady, toczy się bezkrwawa walka, w której zmagamy się z Ruskimi. Udaremnione zostało powstanie wojskowych maszyn, z których każda byłaby zdolna do całkowitego zniszczenia przeciwnika. W końcu walka, sprowadzona została do prób zyskania wpływu na państwa niezaangażowane, Indie, kraje afrykańskie, południowoamerykańskie, do prób wciągnięcia ich do jednego lub drugiego obozu. Jak do tej pory, byliśmy w stanie utrzymać te państwa, pomimo ostatnich sukcesów przeciwnika. Ale biorąc pod uwagę prestiż wynikający z wyboru Sowietów jako dominującej siły świata, przez istoty pozaziemskie, oraz ich wejście w posiadanie wiedzy naukowej i przemysłowego know-how z gwiazd, to wygrają oni zimną wojnę w ciągu jednej nocy.

Jego stare oczy rozpaliły się.

— Chce pan wiedzieć, w co się ładuje, co? Doskonale. Pańskim zadaniem jest dotarcie do tych emisariuszy Konfederacji Galaktycznej i szepnięcie im kilku słów. Przekazanie, że na tej planecie istnieje więcej niż jeden główny punkt widzenia. Nakłonienie ich, żeby przeanalizowali naszą stronę tej kwestii.

— Dotrzeć do nich? Jak? Jeżeli Ruscy…

Hennessey był zmęczony. Blask w jego oczach przygasał. Uniósł chudą dłoń.

— Jeden z moich asystentów poleci z panem na drugą stronę Atlantyku. Przekaże panu szczegóły.

— Ale dlaczego, ja? Ja przecież jestem ściśle…

— W Europie nie znają pana. Nigdy nie był pan powiązany z działaniami szpiegowskimi. Mówi pan po rosyjsku, jak miejscowy. Morton Twombly twierdzi, że jest pan jego najlepszym człowiekiem. Przebieg pańskiej służby wskazuje, że potrafi pan samodzielnie myśleć, a właśnie tego potrzebujemy przede wszystkim.

Hank Kuran odparł stanowczo.

— Mógłby pan poprosić o ochotników.

— I tak zrobiliśmy. Ty, ty i ty. Stara zabawa w wojsko — Hennessey powiedział ze zmęczeniem. — Panie Kuran, jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji. Możemy przegrać na zawsze – i to już dokładnie w tej chwili. Zaraz, w najbliższym miesiącu, czy coś koło tego. Proszę uważać się za żołnierza, rzuconego do najważniejszej walki, jaką kiedykolwiek widział świat – walki z wzrostem siły Sowietów. Nie możemy pozwolić sobie na taki luksus, jak proszenie o ochotników. Czy teraz już pan pojął?

Hank Kurant poczuł jak wzbiera w nim bezsilny gniew. To wszystko wytrąciło go z równowagi.

— Pojmuję to, ale to mi się nie podoba.

— Nikomu z nas — kwaśno stwierdził Sheridan Hennessey. — Czy myśli pan, że ktokolwiek z nas jest tym zachwycony? — Musiał nacisnąć jakiś przycisk.

Spoza ich pleców ich pleców odezwał się energiczny głos majora:

— Mógłby pan udać się tędy, panie Kuran?

W limuzynie, w drodze do portu lotniczego, energiczny, wręcz nie do uwierzenia dokładnie ogolony człowiek z CIA zapytał:

— Nigdy jeszcze nie był pan za żelazną kurtyną, zgadza się, panie Kuran?

— Nie — odparł Frank. — Myślałem, że to określenie jest już passe. Proszę posłuchać, czy nawet nie zajedziemy do hotelu po moje rzeczy?

Drugi z ludzi z CIA, starszy wiekiem, powiedział:

— Wszystkie pańskie rzeczy będą na pana czekały w Londynie. Muszą się upewnić, że nie będzie w nich niczego co mogłoby pana zdradzić przed KGB, gdyby przeszukali pański bagaż.

Ten młodszy stwierdził:

— Nie jesteśmy pewni, wszystko zmienia się bardzo szybko, ale podejrzewamy, że to określenie, żelazna kurtyna, znowu nabrało aktualności.

— No to jak mam się tam przedostać? — z irytacją rzucił Hank. — Nie mam żadnych doświadczeń z wyczynami w stylu płaszcza i szpady.

Starszy mężczyzna z CIA wyjaśnił:

— Jak rozumiemy, KGB zwiększyło środki bezpieczeństwa, ale nie odcięli możliwości podróży ze strony nie-komunistycznej.

Ten drugi dorzucił:

— Prawdopodobnie dlatego, że Ruscy nie chcą sprawić wrażenia na kosmitach, iż izolują ich od krajów zachodnich. Gdyby nagle zniknęli wszyscy podróżnicy z zachodu, byłoby to za bardzo podejrzane.

Przejeżdżali właśnie nad Potomakiem, na prawo w dole Hank Kuran mógł dostrzec bliźniacze Pentagony armii, która po długim czasie wreszcie dzięki swej efektywności, wyeliminowała samą siebie. Wojna w końcu rozwinęła się do takiego stopnia, że nawet pomniejsze państwo, takie jak Kuba, czy Portugalia, mogło kompletnie zniszczyć całą planetę. Wyeliminowała, to nie było do końca właściwe słowo. Pomimo swej sterylności, maszyny militarne ciągle jeszcze wymagały milionowych mas ludzi, ciągle wyciągały jedną trzecią wyrobów przemysły światowego.

Jeden z ludzi z CIA pośpiesznie go informował:

— A więc, wyślemy pana jako turystę. Zrobimy z pana tak niepozornego turystę, jak tylko się da. Przez piętnaście lat, Ruscy doprowadzili do rozkwitu swoją wymianę turystyczną – wszystko dla celów propagandowych, oczywiście. Teraz nie za bardzo mogą powstrzymać ten zalew przybyszów. Gdyby obcy na to wpadli, od razu poczuliby, że coś tutaj śmierdzi.

Hank Kuran z powrotem skupił swoją uwagę na nich.

— No dobrze. A więc, wyślecie mnie do Moskwy jako turystę. Co mam tam robić? Przez cały czas mówię wam przecież, że nie wiem kompletnie nic o pracy szpiegowskiej. Nie znam żadnego tajnego sposobu na nauczenie się judo.

— To jeden z powodów, dla których szef wybrał pana. Dzięki temu nie tylko, Ruscy nie mają na pana nic w swoich aktach – ale również i nasi ludzie. Nikt nie będzie mógł pana zdradzić. Dokładnie jedynie sześciu ludzi na świecie wie o pańskiej misji, i tylko jeden z nich znajduje się w Moskwie.

— Kim on jest?

Człowiek z CIA pokręcił przecząco głową.

— Nigdy go pan nie spotka. Ale on prowadzi przygotowania dla pana, aby mógł pan się skontaktować z podziemiem.

Hank Kuran przekręcił się w fotelu.

— Jakim podziemiem? W Moskwie?

Świetlany facet z CIA o różowej twarzyczce, zachichotał i zaczął coś mówić, ale starszy mu przerwał:

— Pozwól, że ja to zrobię, Jimmy.

Potem kontynuował, zwracając się do Hanka.

— Prawdę mówiąc, nie wiemy nawet w przybliżeniu tak wiele, jak powinniśmy, ale sowieckie podziemie istnieje i rośnie w siłę. Czy słyszał pan o *stiliagi* i o *metrofanuszkach*?

Hank potwierdził.

— To moskiewski ekwiwalent młodocianych łobuzów, czy też Teddy Boys, jak nazywają ich Brytyjczycy.

— Nie tylko moskiewski, można ich znaleźć wszędzie, we wszystkich miastach Rosji. W każdym razie, nasi przyjaciele z podziemia, działają w obrębie *stiliagi*, tak zwanej złotej młodzieży, używając ich jako barw ochronnych.

— To dla mnie coś nowego — stwierdził Hank. — I nie do końca to rozumiem.

— To całkiem sprytne. Powiedzmy, że jest pan późno w nocy, na jakiejś podziemnej akcji, i łapie pana policja. Stwierdzają, że jest pan młodocianym łobuzem, myślą więc że ruszył pan w miasto, żeby się upić, i wrzucają pana na tydzień do pudła. To znacznie lepiej niż wylądować przed plutonem egzekucyjnym jako kontrrewolucjonista, trockista, czy jak tam oni obecnie nazywają tych, których rozwalają.

Szofer zastukał w szybę, oddzielającą ich fotele od jego, i machnął ręką do przodu.

— Jesteśmy w porcie lotniczym — powiedział Jimmy. — Podjedziemy bezpośrednio do samolotu. Proszę schować twarz pod kapeluszem, tak na wszelki wypadek.

— Jeszcze tylko chwileczkę — powstrzymał ich Hank. — Posłuchajcie panowie, a jak ja się skontaktuję z tymi osobnikami z pokolenia bitników?

— Nie zrobi pan tego. To oni się skontaktują z panem.

— Jak.

— To zależy od nich. Może w ogóle tego nie zrobią; są bardzo ostrożni. — Jimmy parsknął, bez odrobiny wesołości. — W Rosjanach do tej pory, musiał wykształcić się jakiś instynkt. Nihiliści, anarchiści, mienszewicy, bolszewicy, a teraz anty-komuniści. Przeżywali najlepiej przystosowani. Do dzisiejszych czasów, rosyjskie podziemie musi składać się z ludzi, którzy naprawdę są urodzonymi rewolucjonistami. W Rosji podziemia istnieją już od dwudziestu pokoleń.

— Nie aż tak długo, żeby to miało wpływ na genetykę — kwaśno skomentował starszy agent.

Hank wtrącił się.

— Może przestańmy przerzucać się mądrościami. Nadal nie otrzymałem nawet słowa wskazówki, w jaki sposób Sheridan Hennessey oczekuje, że dotrę do tych ludzi – stworzeń, czy jak tam ich nazwaliście – z Konfederacji Galaktycznej.

— Ewidentnie są humanoidami — powiedział Jimmy. — Wyglądają mniej więcej jak ludzie. I niech pan się nie martwi, będziemy mieli kilka godzin na wyjaśnienie wszystkich spraw, podczas przelotu nad Atlantykiem. Nie wejdzie pan w rolę, dopóki nie znajdzie się pan w biurach Progressive Tours, w Londynie.

Drzwi Progressive Tours, Ltd., przy Rochester Row 100, stały zapraszająco otworem. Hank Kuran wszedł do środka, rozejrzał się dokoła po niewielkim pomieszczeniu. W duchu skrzywił się na widok dziewczyny za ladą. Co było z tymi Komuchami, że poza granicami kraju, przyciągali do swego obozu takie okazy? Ciężkie szkła, w grubych rogowych oprawach, żeby jeszcze bardziej rzucały się w oczy, sterczące na wszystkie strony włosy, ckliwe tweedowe wdzianko, a na dodatek brud za paznokciami.

Powitała go:

— Co mogę dla was zrobić, towarzyszu?

— Nie *Towarzyszu* — łagodnie sprostował Hank. — Jestem Amerykaninem.

— Czego pan chce? — oświadczyła chłodno.

Hank pokazał jej folder podróżny, który przyniósł ze sobą.

— Chciałbym wykupić tę wycieczkę do Leningradu i Moskwy. Już od tak dawna muszę czytać propagandę za i przeciw Rosji, że mam tego dość, i w końcu zdecydowałem się zobaczyć to wszystko na własne oczy. Czy mogę wykupić wycieczkę, rozpoczynającą się jutro?

Przyjęła tak rzeczową postawę, jak tylko potrafiła.

— Żadnego kraju na świecie nie można tak łatwo zwiedzać, jak Związku Radzieckiego, panie…

— Stevenson — przedstawił się Hank Kuran. — Henry Stevenson.

— Stevenson. Proszę wypełnić te dwa formularze, zostawić swój paszport i dwa zdjęcia, a my na jutro wszystko przygotujemy. *Baltika* wyrusza o dwunastej. Wiza kosztować będzie dziesięć szylingów. Którą klasą chciałby pan podróżować?

— Najtańszą. — *I najmniej rzucającą się w oczy*, dodał Hank w myślach.

— Trzecia klasa kosztuje pięćdziesiąt pięć gwinei. Wycieczka trwa osiemnaście dni, włączając w to czas jaki zajmuje podróż do Leningradu. Będzie miał pan dziesięć dni w Rosji.

— Wiem, czytałem folder. Czy na tej wycieczce będą jeszcze jacyś inni Amerykanie?

Jakiś głos za nim oświadczył:

— Przynajmniej jeszcze jedna.

Hank odwrócił się. Miała jakieś niecałe trzydzieści lat, jak ocenił. I jeśli jej ubranie, głos i wygląd, stanowiły właściwe kryterium oceny, to była osobą z klasy średniej, z licencjatem z tego czy tamtego, niezamężną, i cechującą się agresywnością, która nie podobała mu się w Amerykankach, po spędzeniu większej części ośmiu ostatnich lat życia w krajach latynoskich.

No i oprócz tego, była jedną z najładniejszych dziewczyn, jakie widział w życiu, o żywej, rudowłosej, niemalże chochlikowatej urodzie.

Hank usiłował nie okazywać zbyt otwarcie swego podziwu.

— Amerykanka? — spytał.

— Zgadza się.

Objęła wzrokiem jego pięć stóp i dziesięć cali, nie do końca rozwichrzone włosy, zatroskane oczy za pozbawionymi oprawek szkłami, przyciemnioną peruwiańskim słońcem skórę. Ewidentnie odpuściła go sobie, jako niewartego wysiłku i zwróciła się do straszydła za ladą.

— Przyszłam odebrać moje bilety.

— Och, tak. Panno…?

— Moore.

Straszydło pogrzebało w papierach na leżącej przed nią w dużym nieładzie stercie.

— Och, tak. Panna Charity Moore.

— Charity? — spytał Hank.

Odwróciła się do niego.

— Wyobraża pan sobie? Mam jeszcze dwie siostry, które nazywają się Honor i Hope. Moi starzy byli Adwentystami Dnia Siódmego. To nie moja wina. — Jej ton był uprzejmy – ale jak zapewniała to jej natura, nie brzmiał szczególnie przyjaźnie – zdradzając jej uczucia.

Hank odchrząknął i wrócił do swych formularzy. Kwestionariusz wizowy był zarówno po rosyjsku i po angielsku. Pierwsza linijka brzmiała: Nazwisko, imię, patronimik.

Aby ponownie nawiązać rozmowę, Hank zapytał:

— Co to znaczy patronimik?

Charity Moore oderwała się na chwilę od własnych spraw i wyjaśniła, z mniejszym antagonizmem w głosie:

— To człon nazwiska pochodzący od imienia ojca.

— Oczywiście, dziękuję.

Wrócił do swoich formularzy. W pozycji *jakiego typu pracę pan wykonuje*, Hank wpisał: *Kapitalista, drobny. Właściciel Agencji Samochodowej*.

Zaniósł formularze z powrotem do lady, razem z paszportem. Charity Moore wkładała właśnie bilety, nalepki na walizki i plik instrukcji podróżnych, do swojego notatnika.

Hank zaproponował:

— Proszę posłuchać, będziemy razem na wycieczce, a co by pani powiedziała na drinka?

Zastanowiła się nad tym, uprzejmie.

— No cóż… no cóż, oczywiście. Czemu nie?

Hank zapytał straszydła:

— Nie zna pani jakiegoś miłego baru, gdzieś w okolicy?

— Trzy przecznice dalej ulicą, i po lewej stronie będzie Dirty Dick. — Dodała pogardliwe. — Wszyscy turyści tam chodzą.

— Nie będziemy więc robić wyjątku — stwierdził Hank. — Panno Moore, oto moje ramię.

Po drodze, spytała go:

— Czy ekscytuje pana podróż do Związku Radzieckiego?

— Nie powiedziałbym, że ekscytuje. Ale, ciekawi.

— Nie wydaje pan się za bardzo z nimi sympatyzować.

— Z Rosjanami? — spytał Hank. — A dlaczego niby miałbym to robić? Osobiście, wierzę w demokrację.

— Tak samo i ja — powiedziała, ale urywała zdanie. — Myślę, że pewnego dnia powinniśmy jej spróbować.

— Mogłaby pani powtórzyć?

— Tak jak ja to widzę, opowiadamy tylko pełno frazesów o demokracji, i to już mniej więcej wszystko.

Hank uśmiechnął się w duchu. Już przedtem domyślał się, że podczas tej podróży napotka wiele osób o odcieniach od różowego do płomiennej czerwieni. Jego rola wymagała, aby zwracał na siebie jak najmniejszą

uwagę, tak jak robiłby to przeciętny amerykański turysta. Gorące polityczne spory, raczej mu w tym nie pomogą, ale z drugiej strony, zupełne ich unikanie zwróciłoby na niego jeszcze większą uwagę, niż w tym pierwszym przypadku.

— Jak pani to rozumie? — powiedział więc.

— W naszym kraju są dwie partie polityczne, które nie różnią się między sobą, ani o jotę. Co cztery lata przedstawiają one swoich kandydatów i dają nam wybór. Jaką to robi różnicę, którą z nich wybierzemy, jeśli obie oznaczają to samo? To ma być demokracja?

Hank delikatnie zwrócił jej uwagę.

— No cóż, to chyba lepiej niż wystawić tylko jednego kandydata i powiedzieć, którego z tego jednego chcecie sobie wybrać? Wie pani co, lepiej może zejdźmy z tematu polityki i religii, jak pani myśli? W przeciwnym przypadku trudno będzie zmienić naszą znajomość w piękną przyjaźń.

Twarz Charity Moore była pełna rezygnacji.

Hank dodał jeszcze:

— Mam na imię Hank, a jak mówią na ciebie, oprócz Charity?

— Wszyscy poza moimi rodzicami, mówią na mnie Chair. Pisze się C-H-A-R, ale wymawia Chair, jak krzesło do siedzenia.

— Od razu lepiej — powiedział Hank. — Zobaczmy. Tutaj jest Dirty Dick. Wygląda na podłą knajpę. Chcesz wejść?

— Tak — odparła Char. — Czytałam o tym miejscu. Dawna karczma przydrożna, do zmiany koni. Jeden z najstarszych pubów w Londynie. Dickens napisał o nim wiersz.

Kiedy weszli do pubu, po prawej stronie rozciągał się bar. Po lewej znajdował się bufet kanapkowy, z kilkunastoma taboretami. Było za wcześnie na jedzenie, stanęli więc przy starodawnym barze, a Hank spytał ją:

— Ale? — kiedy skinęła głową, zwrócił się do barmana: — Dwa Worthingtony.

Kiedy barman nalewał piwo, Hank odwrócił się z powrotem do dziewczyny, nieustannie od nowa zauważając, jaka ona była niemożliwie ładna. Było to niepokojące. Zapytał:

— Skąd się wzięła Rosja? Wyglądałabyś bardziej na miejscu na plaży w Biarritz, albo Lido.

Char odparła:

— Przez cały czas, odkąd skończyłam dziesięć lat, czytałam o ludziach w Rosji zagłodzonych na śmierć, którzy muszą pracować sześć miesięcy, zanim zarobią wystarczająco dużo aby im starczyło na parę butów. Postanowiłam więc zobaczyć, jak tym zagłodzonym, bosonogim ludziom udało się zbudować największą potęgę przemysłową świata.

— I znów wracamy do tego samego — stwierdził Hank, biorąc swoją szklankę. Uniósł ją w milczeniu w jej kierunku, zanim powiedział: — Jako pojedyncze państwo, to Stany Zjednoczone są ciągle największą potęgą przemysłową świata.

— Może gdzieś tak do 1965 roku, ale nie dzisiaj — oznajmiła zdecydowanie.

— Rosja plus jej satelity i Chiny mają wyższy dochód narodowy brutto, niż kraje wolnego świata, ale żadne pojedyncze państwo nie produkuje więcej, niż Stany Zjednoczone. Dlaczego się śmiejesz?

— Uwielbiam ten sposób, w jaki Zachód dekoruje się ślicznymi, górnolotnymi etykietkami. Wolny świat. Arabia Saudyjska, Etiopia, Pakistan, Południowa Afryka – jaka jest wobec tego twoja definicja wolności?

Hank już ją sobie umiejscowił. Radykalistka z college'u. Jedna z dziesiątków tysięcy młodych ludzi, którzy odkrywają, zazwyczaj gdzieś tak w okolicach drugiego roku, że w kraju ich urodzenia nie wszystko jest doskonałe, i zaczynają rozglądać się w poszukiwaniu odpowiedzi. Dziesięć do jednego, że nie jest Komuchem i pewnie nigdy nim nie zostanie – ale na razie dostała parę kopów, próbując mieszać w ideologicznej mętnej wodzie.

Aby nie wypaść ze swej roli, Hank spytał ją delikatnie:

— Posłuchaj, czy ty aby nie jesteś komunistką?

Walnęła swoją szklanką w bar, z dostatecznie dużą siłą, aby zmusić barmana do zaniepokojonego spojrzenia.

— Czy nie przyszło ci kiedyś do głowy, że nawet jeśli Związek Radziecki może się mylić – jeżeli się myli – to wcale nie oznacza, że Stany Zjednoczone mają rację? Przypominasz mi… tego polityka, jak tam on się nazywał, kiedy jeszcze byłam mała. Każdy kto się z nim nie zgadzał, automatycznie stawał się komunistą.

— McCarthy — podrzucił jej Hank. — Przepraszam cię, a więc nie jesteś komunistką.

Uniosła znowu swoją szklankę, nadal rozdrażniona.

— Nie powiedziałam, że nie jestem. To moja sprawa.

Statek turboelektryczny *Baltika* okazał się być dumą Bałtyckiej Państwowej Kompanii Pasażerskiej ZSSR. Prawdę mówiąc, okazał się on być całą jej flotą. Podobnie jak i reszta świata, blok sowiecki również wystrzelił w powietrze, przynajmniej jeśli chodzi o podróże pasażerskie, a *Baltika* dawno już była reliktem z przeszłości. Z jakichś powodów CIA myślało, że może to być mniej rzucające się w oczy dla KGB, jeśli Hank dostanie się do Moskwy pośrednio, to jest drogą morską i przez Leningrad. Miało to zająć dodatkowe cztery-pięć dni, ale gdyby udało mu się przedostać niezauważonym, zmarnowany czas będzie tego wart.

Mówiący po angielsku steward wziął na trapie bagaż Hanka i odprowadził go do kwatery. Jego kabina znajdowała się na przedzie i cztery piętra w głębi trzewi statku. Były w niej w sumie cztery koje, na dwóch już leżały torby. Hank włożył rękę do kieszeni, szukając szylinga.

Steward uśmiechnął się szeroko i oznajmił:

— Żadnych napiwków. To statek radziecki.

Hank popatrzył za nim.

Do kabiny wszedł nowy przybysz, ciągle wycierając dłonie w ręcznik.

— Witam — powiedział. — Ewidentnie będziemy współpasażerami w czasie trwania tego rejsu. — Odwiesił ręcznik na haczyk i wyciągnął rękę.

— Rodriquez — przedstawił się. — Możesz nazywać mnie Paco, jeśli chcesz. Czy spotkałeś kiedyś Argentyńczyka, który by nie miał na imię Paco?

Hank uścisnął mu rękę.

— Nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek wcześniej, spotkałem jakiegoś Argentyńczyka. Dobrze mówisz po angielsku.

— Harvard — wyjaśnił Paco. Szeroko się przeciągnął. — Zauważyłeś te Rosjanki z załogi? Blondynki, same blondynki. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Nie będzie za dużo czasu, żeby się nimi zająć – ale wystarczy go.

Dobiegający zza nich głos, z mocnym brytyjskim akcentem, powiedział:

— Dzień dobry, panowie.

Był tak bardzo hebanowy, jak tylko może być Murzyn i tak nieskazitelnie ubrany, jak tylko najdroższe sklepy na Savile Row mogą ubrać człowieka. Przedstawił się:

— Nazywam się Loo Motlamelle.

Popatrzył na nich przez chwilę beznamiętnym wzrokiem.

Paco wyciągnął żwawo dłoń w jego stronę.

— Rodriquez — odparł. — Mów na mnie Paco. Jak przypuszczam wszyscy udajemy się do Moskwy.

Loo Motlamelle zdawał się poczuć ulgę, na jego gest akceptacji, pochwycił dłoń Paco, a następnie Hanka.

Kiedy cała ich trójka zaczęła się rozpakowywać, w rozsądnym przy tak krótkiej podróży zakresie, Hank pokręcił głową.

— Bezklasowe społeczeństwo. Ciekawe jak wygląda kabina pierwszej klasy. Tutaj siedzimy ściśnięci we trójkę w pomieszczeniu o rozmiarach budki telefonicznej.

Paco zachichotał.

— Mój drogi przyjacielu, nie znasz nawet połowy prawdy. Na tym statku jest pięć klas. Nie trzeba chyba mówić, że to jest Turystyczna B, najniższa.

— I pewnie przez całą drogę będziemy karmieni barszczem i czarnym chlebem — warknął Hank.

Loo Motlamelle zauważył delikatnie:

— Słyszałem, że jedzenie jest bardzo dobre.

Paco wstał sponad swojego bagażu, chwytając się pod biodra.

— Panowie, czy zdajecie sobie sprawę, że w drzwiach tej kabiny nie ma zamka?

— Współczynnik przestępczości w krajach radzieckich jest tak niski, że można go pominąć — odparł Loo.

Pako uniósł do góry ręce w rozpaczy.

— Nie o to mi chodzi. Przypuśćmy, że któryś z nas będzie miał życzenie przyprowadzić do kabiny swoją przyjaciółkę… na drinka. W jaki sposób ma zamknąć drzwi, żeby nikt mu nie przeszkadzał?

Hank zachichotał.

— Paco, dlaczego wybrałeś się na tą wycieczkę? Badania obyczajów sowietów – kobiece smaczki?

Paco wrócił do swojej torby.

— Prawdę mówiąc, przypuszczam że nie jestem jedynym. Wyprawiam się do nowego świata, by zobaczyć czy jest on wart zmiany sojuszu ze starym.

Subtelny palec zimna przesunął się po wnętrznościach w brzuchu Hanka Kurana. Nigdy wcześniej nie słyszał, by ktoś odnosił się do Stanów Zjednoczonych, określając je jako Stary Świat. Miało to dziwny, niepokojący wydźwięk.

Loo, który leżał teraz wyciągnięty na swoim łóżku, stwierdził:

— I to jest mniej więcej ten sam powód, dla którego i ja odwiedzam Związek Radziecki.

Hank spokojnie zapytał:

— A kto cię wysłał, Paco? Albo może jesteś tu z własnej inicjatywy?

— Nie, mój północnoamerykański przyjacielu. Moje usta milczą, ale reprezentuję raczej wpływową grupę. To wszystko to nie żart, chociaż uważam, że życie jest łatwiejsze, jeśli człowiek śmieje się często i wesoło.

Hank zamknął swoją torbę i wsunął ją pod łóżko.

— No cóż, może powinieneś tę swoją wpływową grupę lepiej wydoić z jakichś dodatkowych pieniędzy, tak byś mógł podróżować klasą de luxe.

Paco popatrzył na niego dziwnie.

— Na tym właśnie polega sedno rzeczy. My nie jesteśmy zainteresowani podróżą po czerwonych dywanach, które nawet najlepsze można porozkładać wszędzie dla celów propagandowych. Wybrałem się tu, by zobaczyć Nowy Świat w tak skromny sposób, jak to tylko możliwe.

— I ja również — przyznał Loo. — Ewidentnie jesteśmy w bardzo podobnej pozycji.

Hank zmusił się do pozostania w swej roli.

— No cóż, lekcja numer jeden. Czy zauważyliście zęby w ustach stewarda? Stal. Jasna, błyszcząca stal, a nie złoto.

— Mamy czasy nauki — mocno wzruszył ramionami Loo. — Żelazo rdzewieje, to prawda, ale zakładam, że sowieccy dentyści wykorzystali jakąś metodę zapobiegania korozji.

— W przeciwnym razie — mruknął rozsądnie Paco — Rosjanie przez cały czas spluwaliby rdzawą śliną.

— Nie wiem, czemu ciągle wdaję się w te dyskusje — stwierdził Hank. — Ja po prostu chcę tam pojechać i sam na to popatrzeć. Ale szczerze mówiąc, ufam Rosjanom tylko na tyle, na ile sam będę mógł rzucić okiem.

— Ilu Rosjan spotkałeś? — łagodnie powiedział Loo. — A może twoje opinie ukształtowały się wyłącznie na podstawie tego, co wyczytałeś w amerykańskich publikacjach?

Hank popatrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami.

— Wydajesz się być odrobinę po stronie anty-amerykańskiej.

— Nie, nie jestem — zaprzeczył Loo. — Ale nie jestem również po pro-amerykańskiej. Uważam, że w propagandzie zarówno sowieckiej, jak i zachodniej, jest wiele śmiesznych rzeczy.

— Panowie — oznajmił Paco. — Konwersacja jest fascynująca, ale muszę was teraz zostawić. Panie zapełniające pokłady nad nami, nie wiedzą o tym że zaszczyciłem ten statek swoją obecnością. Dlatego niezbędne jest, abym je w tym względzie oświecił. Adios amigos!

Baltika przewoziła osiem tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt sześć ton i dostarczała zakwaterowania dla trzystu trzydziestu pasażerów. Z tych, jak oceniał Hank Kuran, połowę stanowili Skandynawowie i Brytyjczycy, przewożeni między Londynem, Kopenhagą, Sztokholmem i Helsinkami małym pasażerskim linowcem, do Leningradu.

Spośród turystów, których było ze siedemdziesięciu pięciu, mniej więcej, Hank szacował, że wszyscy poza jakimś pół tuzinem byli przekonani, że ruskie skunksy nie śmierdzą, pomimo faktu, iż jak do tej pory nikt z nich jeszcze nie był na miejscu, żeby je powąchać. Paru z nich, jak Loo Motlamelle, który ewidentnie był synem jakiegoś ważnego wodza z Afryki, albo Paco Rodriquez, też nigdy jeszcze nie było w Rosji, ale przynajmniej zachowali otwarte umysły.

Stwierdził że jedzenie jest dalekie od czarnego chleba i barszczu, oraz że jest doskonałe. Pierwszego dnia rano, jako część śniadania otrzymali kawior wyłożony w zanurzonych w lodzie miseczkach. Powiedział przez stół do Paco:

— Propaganda. Ciekawe ilu ludzi w Rosji jada kawior.

Paco nałożył sobie sporą kupkę na chleb i odpowiedział szerokim uśmiechem.

— Ten rodzaj propagandy, jestem w stanie docenić. Wy Jankesi, też powinniście go spróbować.

Char także jadła, w innym miejscu długiego stołu. Powiedziała:

— Ilu Amerykanów jada równie dobrze, jak pasażerowie statków Linii Stanów Zjednoczonych?

Była to dla Hanka równie dobra okazja jak inne, żeby określić swoją postać w oczach towarzyszących mu pielgrzymów Progressive Tours. Jego celem było przedstawienie swojej osoby jako umiarkowanie uczciwego turysty, który wyruszył aby popatrzeć własnymi oczyma na tak szeroko omawianą Rosję. Oryginalnie, ludzie z CIA, chcieli by zachowywał się nieco pro-sowiecko, ale nie był pewien, czy zdoła to zagrać dostatecznie przekonywująco. Bardziej wygodna dla niego będzie rola przeciętnie anty-rosyjskiego turysty – nie jakoś fanatycznie, ale przeciętnie. Gdyby na pokładzie byli jacyś ludzie z KGB, chciał się zatopić w przeciętności, przynajmniej jeśli chodziło o nich.

Hank odparł więc jej teraz, z leciutkim oburzeniem w głosie:

— Czy utrzymujesz, że przeciętny Rosjanin jada równie dobrze, co przeciętny Amerykanin?

Char przez dłuższą chwilę przełykała to, co miała w ustach. Potem wdzięcznie wzruszyła ramionami.

— A skąd mam wiedzieć? Nigdy jeszcze nie byłam w Związku Radzieckim. — Zrobiła chwilę przerwy, zanim jeszcze dodała. — Jednak,

trochę w życiu podróżowałam i z całą pewnością mogę powiedzieć, że najgorsze slumsy, jakie widziałam w którymkolwiek z krajów pretendujących do miana cywilizowanych, to te w dystrykcie Harlem i dolnym East Side w Nowym Jorku.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz w jego stronę, tak więc Hank powiedział:

— To duży kraj i zdarzają się wyjątki. Ale średnio biorąc, Stany Zjednoczone mają najwyższy standard życia na świecie.

Paco wtrącił z zainteresowaniem:

— Mój przyjacielu, jakiej podstawy pomiarowej używasz? Takich rzeczy, jak liczba odbiorników telewizyjnych i kin? Żeby zrównoważyć te statystyki, z tego co wiem, w twoim kraju liczba uznanych teatrów na głowę mieszkańca jest najmniejsza, ze wszystkich – pozwól że użyję określenia panny Moore – cywilizowanych krajów.

Londyńczyk, siedzący dwa krzesełka od Hanka, roześmiał się niemiło.

— Może używa do pomiaru poziomu edukacji. Kiedyś czytałem w *Express*, że Jankesi nawet kiedy skończą studia, nie potrafią dobrze czytać. Nauczą się tam tylko prowadzenia samochodu, tańca i poczucia wspólnoty – cokolwiek by to było.

Hank wyszczerzył w myślach zęby w uśmiechu. *Ty sam nie zabrzmiałeś, jakbyś potrafił za dobrze czytać, mój drogi przyjacielu*. Głośno zaś oznajmił:

— Bardzo dobrze, za parę dni będziemy w tej waszej ziemi obiecanej. Ja twierdzę, że swoboda przedsiębiorczości przynosi najwięcej dobrego, największej liczbie ludzi.

— Swoboda przedsiębiorczości — parsknął ktoś siedzący dalej przy stole. — To oznacza swobodę dla kapitalisty, do wykołowania wszystkich innych, z jak największej części tego, co produkuje.

Do czasu zanim dopłynęli do Leningradu, nie licząc swych towarzyszy z kabiny, Paco i Loo, Hank zbudował swoją własną żelazną kurtynę między sobą i innymi uczestnikami wycieczki Progressive Tours. Co dokładnie było zgodne z jego zamierzeniami. Był w stanie wyobrazić sobie chwilę, kiedy duże grono przyjaciół może stać się obciążeniem, gdyby zdecydował się na pewien czas oddryfować gdzieś z dala od głównej grupy.

Prawdę mówiąc, dyskusje w które się zagłębiał, były na dosyć dziecinnym poziomie. Hank Kuran nie mógłby spędzić ośmiu lat, jako agent polowy działający w sferze ekonomicznej przeciwko krajom sowieckim, bez rozważenia każdego argumentu zarówno za jak i przeciw, w ciągłej bitwie pomiędzy kapitalizmem i komunizmem. Teraz więc chichotał w duchu, wchodząc w sprzeczki o wyższości czarnego rosyjskiego chleba względem białego amerykańskiego, albo czy odrzutowce sowieckie były szybsze niż te należące do Stanów Zjednoczonych.

Z Char Moore, chociaż tolerowała ona towarzystwo Hanka, a prawdę mówiąc nawet zdawała się je preferować w porównaniu z innymi obecnymi na pokładzie mężczyznami, trwała ciągła, nieustanna wojna na wyniszczenie. Była on gotowa do walki na każdy temat dotyczący polityki, spraw międzynarodowych, czy stosunków Wschód Zachód.

Tak naprawdę jednak tematykę rozmów na statku zdominowali goście z kosmosu – zarówno wśród członków załogi, turystów, podróżujących w interesach, czy kogokolwiek innego. Informacje były ciągle bardzo ograniczone, a ich jedynym źródłem był Tass. Codziennie odbierane były na Baltice inne wielojęzyczne stacje radiowe, ale generalnie dodawały one niewiele do faktycznej informacji na temat pozaziemskich istot. Był to głownie sowiecki bełkot wspierający, na temat znaczenia faktu, że emisariusze Konfederacji Galaktycznej wylądowali w bloku sowieckim, a nie w krajach zachodnich.

Hank dowiedział się niewiele ponad to, co wiedział już wcześniej. Kreml całkowicie i drwiąco odrzucił sugestię ze strony Szwajcarii, że pozaziemscy przybysze powinni zostać odesłani do całej, chociaż kiepsko funkcjonującej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Delegaci Konfederacji Galaktycznej zdecydowali się wylądować w Moskwie. Powinni więc pozostać w Moskwie, dopóki nie zapragną udać się w jakieś inne miejsce. Wniosek przebijający spoza wypowiedzi Sowietów brzmiał, że obcy emisariusze nie mieli chęci, zamiaru, ani powodu do odwiedzania innych części Ziemi. Skontaktowali się z dominującą siłą planety i mogli załatwić swoje sprawy w obrębie murów Kremla.

Leningrad był dla Hanka Kurana niewielkim tylko zaskoczeniem. Przy swojej znajomości rosyjskiego i pozycji w departamencie Mortona Twombly'ego, przez całe lata utrzymywał się na bieżąco w sprawach sowieckich.

Już wcześniej, w połowie lat 50-tych, bezstronni podróżnicy do ZSRR szczegółowo komentowali eksplozję produkcji w tym kraju. Do końca dekady książki takie jak „Inside Russia Today" Gunthera, rozwodziły się nad ultra-czystością miast, wyrastającymi jak grzyby po deszczu blokami mieszkalnymi, złagodzeniem restrykcji z czasów stalinowskich – a przynajmniej początkami tego procesu.

Tak więc, nie spodziewał się odzianych w chłopskie łachmany, na wpół zagłodzonych Rosjan, skrycie obrzucających spojrzeniami swoich sąsiadów, w obawie przed tajną policją. Ani czarnego chleba i diety opartej na kapuście. Ani też długich rzędów politycznie podejrzanych, wleczonych siłą na Syberię. Z drugiej jednak strony, nie był przygotowany na dobrobyt, jaki znalazł.

Nie to, żeby był to jakiś raj dla robotników, czy kogokolwiek innego. Mimo wszystko, była to jednak lekka niespodzianka. Henry Kuran nie potrafił sięgnąć pamięcią na tyle daleko, aby znaleźć dni pozbawione codziennej dawki anty-rosyjskości, jaką mu aplikowano. Chyba żeby wrócić aż do krótkiej odwilży podczas Drugiej Wojny Światowej, kiedy przez parę lat Armia Czerwona złożona była z bohaterów, a Stalin miewał chwile gdy stawał się dobrodusznym, starym Wujkiem Joe.

Na ulicach nie jeździło aż tyle samochodów, co w amerykańskich miastach, ale było ich znacznie więcej, niż się spodziewał, no i nie było pośród nich modeli packarda z 1955 roku. Na tyle, na ile mógł dostrzec,

były to mniej więcej takie same samochody, jak te pojawiające się w Europie Zachodniej.

Transport publiczny, jak przyznawał, był lepszy niż ten, który można znaleźć w zachodnich stolicach. Oczywiście, musiał taki być. Bez samochodów, autobusy, tramwaje i metro musiały przewieźć masy podróżujących. Jednak naprawdę zdumiała go nieskazitelna efektywność transportu publicznego.

W sklepach nadal nie było takich stosów towarów, jak w zachodnich stolicach. Nie brakowało w nich dóbr, zarówno luksusowych, jak i pierwszej potrzeby. Ale nie były one przepełnione ich niesamowitymi ilościami, w setkach odmian o różnej jakości i stylu, jakich należało oczekiwać w Stanach.

Najbardziej uderzył go jednak fakt, że ludzie na ulicach nie byli załamanymi, przygnębionymi, posępnymi wołami roboczymi. Prawdę mówiąc, musiał to przyznać, że wyglądali mniej więcej tak samo, jak na ulicach wszędzie indziej na świecie. Niektórzy śmiali się, inni wyglądali na zmartwionych. Dzieci biegały i bawiły się. Zakochani trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy. Byli tacy, którzy zataczali się od nadmiaru wódki. Niektórzy gdzieś się śpieszyli, pochyleni nad swoimi sprawami. Inni znowu odpoczywali, oglądając wystawy, przechadzając się dla zażycia odrobiny świeżego powietrza. Niektórzy czytali książki lub gazety, snując się na ślepo, nieświadomi otaczającego ich świata.

W Leningradzie spędzili tylko półtora dnia. Obejrzeli Ermitaż, porównywalny do Luwru i dalece przewyższający jakiekolwiek muzeum sztuki w Ameryce. Zobaczyli sławne metro – które dorównywało swej renomie. Przeprowadzono ich przez parę mil kwadratowych sprzętu elektrycznego w Elektrosile, określanej ostentacyjnie jako największa na świecie. Jedli w restauracjach równie dobrych jak te, na które Hank Kuran mógł sobie pozwolić w domu, i spędzili noc w hotelu Astoria.

Przynajmniej Hank miał okazję pogderać na hydraulikę.

Paco i Loo, jedyni samotni kawalerowie na wycieczce, oprócz niego samego, w Astorii znowu zostali zakwaterowani razem z nim.

Paco oznajmił:

— Mój przyjacielu, co do tego zgadzam się z tobą w zupełności. Ameryka ma najlepszą hydraulikę na świecie. Na maksa.

Hank zdjął buty, po wyczerpującym dniu zwiedzania.

— No cóż, cieszę się, że w końcu znaleźliśmy jakieś pole, na którym zgadzamy się co do tego, że Zachód przewyższa Ruskich.

Loo leżał wyciągnięty na łóżku z nogami w skarpetkach, gapiąc się na sufit, wiszący co najmniej piętnaście stóp nad nimi. Zauważył:

— W miasteczku, w którym się urodziłem, były trzy łazienki, jedna w domu misjonarza, druga w domu komisarza i trzecia w pałacu mojego ojca. — Popatrzył na Hanka. — Czy mój kraj jest uważany za część Świata Zachodniego?

Paco roześmiał się.

— Jeśli już o tym pomyśleć, to wątpię by choćby jedna trzecia wiejskich domów w Argentynie, miała łazienki. Hank, mój przyjacielu, obawiam się, że Loo ma rację. Używasz słowa Zachód zbyt szeroko.

Niecały świat kapitalistyczny jest tak rozwinięty jak Stany Zjednoczone. Wy, Jankesi, mieliście wielkie szczęście.

Hank zatonął w jednym z ogromnych, wiktoriańskich foteli.

— Szczęście nie ma z tym nic wspólnego. Ameryka jest bogata, ponieważ prywatna przedsiębiorczość działa.

— Oczywiście — pociągnął jego myśl żartobliwie Paco — fakt że twój kraj pływa na morzu ropy, posiada niektóre z najbogatszych obszarów leśnych na świecie, został obdarzony największymi złożami minerałów i milionami akrów niewiarygodnie żyznej ziemi, nie ma z tym kompletnie nic wspólnego.

— Łapię, o co ci chodzi — powiedział Hank. — Stanom Zjednoczonym podano wszystkie bogactwa świata na tacy. Ale to jedynie część prawdy.

— Tak — zgodził się Loo. — Trzeba również wziąć pod uwagę fakt, że od ponad stu lat nie mieliście żadnej poważnej wojny; poważnej, to jest takiej, w której wasz kraj zostałby najechany, a przemysł zniszczony.

— To argument na naszą korzyść. Jesteśmy ludźmi miłującymi pokój.

Loo roześmiał się nagle.

— Powinieneś to powiedzieć Indianom Amerykańskim.

Hank popatrzył na niego groźnie.

— Co przez to rozumiesz, Loo? To ma wszelkie oznaki brzydkiego zagrania.

— Albo powiedz to Meksykanom. Czy nie tak zdobyliście cały swój Południowy-Zachód?

Hank powiódł wzrokiem od Loo do Paco i z powrotem.

Paco wyciągnął papierosy i rzucił po jednym każdemu z nich.

— Czy te długie rosyjskie papierosy, to nie koniec świata? Słyszałem jak ktoś mówił, że zanim dym przedostanie się przez cały ten filtr, to człowiek zdąży odzwyczaić się od nich. — Popatrzył na Hanka. — Spokojnie, mój przyjacielu, spokojnie. Na tego rodzaju wycieczce, uniknięcie stałego porównywania Wschodu i Zachodu, nieustannego grzebania w polityce, plusach i minusach obu stron, jest niemożliwe. Wszyscy przecież przez cały czas przyswajamy sobie to co słyszymy i widzimy. Pośród wielu innych rzeczy, zauważyłem, że w kioskach z gazetami nie ma publikacji z krajów zachodnich. Dlaczego? Ponieważ ciągle, po pięćdziesięciu latach, tutejsza komunistyczna biurokracja ośmiela się nie pozwalać ludziom czytać tego, co chcą. Zauważyłem także, że nie wszystkie sklepy na Alei 25 października przeznaczone są dla zwykłego Rosjanina z ulicy, chyba że zarabia on niewiarygodnie więcej niż to, o czym słyszeliśmy. Sobolowe płaszcze? Biżuteria? Luksusowe meble? Zaczynam podejrzewać, że nasi sowieccy przyjaciele nie są tak zupełnie bezklasowi, jak miał to na myśli pan Marx, kiedy razem z panem Engelsem opracował z grubsza model przyszłego społeczeństwa.

Loo stwierdził poważnie.

— Och, jest jeszcze znacznie więcej tego rodzaju rzeczy, które można zauważyć tu, w Związku Radzieckim.

Hank musiał szeroko się uśmiechnąć.

— No cóż, cieszę się, że wy, smutasy, zachowaliście chociaż otwarte umysły.

Paco pokiwał w jego stronę przecząco palcem.

— My zachowujemy otwarte umysły przez cały czas, mój przyjacielu. To twój wydaje się być zamknięty. Pomimo tego, że spędziłem w twoim kraju cztery lata, czasami muszę przyznać, że nie rozumiem was, Amerykanów. Wydaje mi się, że jesteście za bardzo zanurzeni w tych swoich programach telewizyjnych, filmach i lekkiej literaturze.

— Czuję się, jakbym ponownie został posadzony w siodle — poskarżył się Hank. — Wszystko gotowe do kolejnej jazdy.

Loo zaśmiał się delikatnie. Jego perfekcyjnie białe zęby zabłysły na tle czarnej twarzy.

Paco odparł:

— Wydajesz się przyjmować obraz świata podzielonego dobrych i złych, rodem ze świata fikcji. A w tym podzielonym świecie rzeczywistym, przyjmujesz, że to wy jesteście ci dobrzy, bohaterowie, no i z tego powodu, Sowieci muszą być czarnymi charakterami. Zaś, tak jak w filmach, wszystko co robią ci dobrzy jest wspaniałe, zaś wszystko co robią ci źli, jest złe. Czasami sobie myślę, że gdyby Rosjanie odkryli lekarstwo na raka, to wy, Amerykanie, natychmiast odmówilibyście jego użycia.

Hank miał dosyć. Powiedział:

— Posłuchaj, Paco, Amerykanów jest dwieście milionów. I kiedy ty, czy ktokolwiek inny, pojawiasz się i próbujesz bezproblemowo scalić razem tak wielu ludzi, robisz po prostu głupio. W tej grupie ludzi znajdziesz każdy typ osobowości, jaki istnieje na świecie, w dowolnym kraju. Najwyższe szczyty inteligencji i półgłówków żyjących w odpowiednich instytucjach; najwspanialej wykształconych naukowców i ludzi, którzy nie ukończyli szkoły podstawowej. Znajdziesz świętych i gangsterów; cudowne dzieci i młodocianych przestępców; oraz miliony, miliony zwykłych, normalnych ludzi, bardzo podobnych do tych mieszkających w Argentynie, Anglii, Francji, czy gdziekolwiek indziej. To prawda, że pośród tych dwustu milionów, istnieją ludzie z pewnymi ogromnymi uprzedzeniami, niektórzy z nich są straszliwie zacofani, a także jest spora grupa kompletnych głupców. Ale jeśli myślisz, że Stany Zjednoczone osiągnęły pozycję jaką mają dzisiaj, dzięki wysiłkom narodu, który w całości składa się z zupełnych idiotów, to ewidentnie ty sam chyba masz trochę nierówno pod sufitem.

Paco popatrzył na niego z napięciem.

— Przyjąłem, przyjacielu Hank, i przepraszam. To chyba najbardziej efektywny wybuch, jaki słyszałem od ciebie w czasie tego tygodnia, od kiedy się poznaliśmy. Wydaje mi się, że być może jesteś inny, niż początkowo myślałem.

Och, och. Hank zaczął się wycofywać. Zaproponował:

— Niech to! Lepiej już zostawmy tę sprawę.

Paco odparł:

— No dobrze, tak żeby zmienić temat, panowie, jest jedna rzecz, która tutaj, w Leningradzie, przede wszystkim rzuciła mi się w oczy.

— A co takiego? — spytał Loo.
— To jedyne miasto, jakie kiedykolwiek widziałem, gdzie miałem ochotę pocałować gliniarza — oznajmił dramatycznym tonem Paco. — Nie zauważyliście? Połowa policji drogowej w tym mieście, to słodkie, małe, blondyneczki.
Loo przewrócił się na bok.
— Fascynująca obserwacja, ale ja osobiście mam zamiar uciąć sobie małą drzemkę. Dzisiaj w nocy mamy Ekspres Czerwona Strzała do Moskwy i wypoczynek może być potrzebny, zwłaszcza jeżeli pociąg ma kwadratowe koła, opalany jest drewnem i zatrzymuje się przed każdym mostem po drodze, żeby go naprawić, jak z pewnością uważa Hank.
Hank sięgnął pod łóżko, złapał za jeden ze swoich butów i rzucił nim z impetem.
— Pudło! — wyszczerzył zęby w uśmiechu Loo.

Ekspres Czerwona Strzała miał okrągłe koła, spalał paliwo dieslowskie i pokonał drogę między Leningradem a Moskwą w ciągu jednej nocy. Pod pewnym względem, była to najbardziej wyjątkowa podróż kolejowa, jaką Hank Kuran kiedykolwiek odbył. Tor od jednego miasta do drugiego, nie miał ani jednego zakrętu. Inżynierowie chyba musieli kłaść podkłady kolejowe z linijką w ręku.
Wagony, podobnie jak inne elementy transportu publicznego, były równie wygodne, jak każde inne znane Hankowi. Podróż drugą klasą, jak to czynili pasażerowie Progressive Tours, pociągała za sobą umieszczenie w przedziale sypialnym czterech osób, z jednym wyjątkiem. Na końcu wagonu znajdował się mniejszy przedział, tylko z dwoma łóżkami.
Przewodnik z Intouristu, który opiekował się nimi w Leningradzie, zaprowadził ich do pociągu, dopilnował żeby bezpiecznie znaleźli się w środku i powiedział im, że inny pracownik Intouristu odbierze ich na stacji w Moskwie.
Było późno. Hank został przydzielony do przedziału dwułóżkowego. Odłożył okulary na niewielki stolik pod oknem, usiadł na brzegu niższego łóżka i zaczął ściągać buty. Kiedy otworzyły się drzwi, nie uniósł wzroku, dopóki nie usłyszał głosu w którym dominował ton zbliżony do powiewu od góry lodowej:
— A co ty tutaj robisz?
Hank mrugając uniósł na nią wzrok.
— Cześć, Char. Słucham?
Char Moore rzuciła ostro:
— Powiedziałam, co robisz w moim przedziale?
— Twoim? Przepraszam, konduktor przed chwilą mnie tu przyprowadził. Ewidentnie, nastąpiła jakaś pomyłka.
— Sugeruję, żeby natychmiast pan ją wyprostował, panie Stevenson.
Na zewnątrz, w korytarzu, jakiś głos, z mocnym brytyjskim akcentem, skarżył się żałośnie:

— Czy słyszeliście kiedyś o czymś takim? Umieścili mężczyzn i kobiety w tych samych przedziałach. Mam spać z jakąś panią, na łóżku pode mną.

Hank odchrząknął, ale nie pozwolił sobie na luksus uśmiechu. Powiedział:

— Zobaczę, co się da zrobić, Char. Zdaje się, że gdzieś już czytałem, iż Ruscy nie widzą nic złego w umieszczaniu w tym samym przedziale sypialnym obcych sobie ludzi różnych płci.

Char Moore stała tam, nic nie mówiąc, ale oddychając wystarczająco głęboko, by jasno wyrazić obrazę majestatu amerykańskiej kobiecości.

— Już dobrze, już dobrze — powiedział, wciskając z powrotem buty i zakładając okulary na nos.

Piętnaście minut później, wrócił do przedziału, ziewając tym razem potężnie. Char Moore siedziała na brzegu dolnego łóżka, popijając ze szklanki herbatę, którą kupiła za kilka kopiejek od kobiety obsługującej wagon sypialny. Kiedy wszedł, uniosła na niego zimny wzrok, ale jej głos był bardziej uprzejmy.

— Udało ci się coś załatwić?

Hank odparł:

— Które łóżko chcesz, górne, czy dolne?

— To nie jest zabawne.

— I wcale nie miało być. — Hank wyciągnął swoją torbę spod łóżka i wyjął z niej piżamę i szlafrok. — Sprawdź resztę wycieczki, jeśli chcesz. To nie jest pomyłka konduktora. Widocznie przedziały przydzielono w Intouriście i tak, jak nas rozmieszczono, mamy spać. Chyba że chcesz przez całą noc stać na korytarzu. Niech mnie diabli, jeśli ja na to pójdę.

— Nie musisz przeklinać — rzuciła z irytacją Char. — Co z tym zrobimy?

— Właśnie ci przed chwilą powiedziałem, co ja mam zamiar zrobić. — Wziął swoje rzeczy i otworzył drzwi. — Przebiorę się w męskiej przebieralni.

— Zamknę drzwi na klucz — warknęła Char.

Hank wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

— Założę się, że jeżeli to zrobisz, to konduktor albo ma klucz uniwersalny, albo wyważy je dla mnie siłą.

Kiedy wrócił w pantoflach, szlafroku i piżamie, Char leżała na górnym łóżku, gniewnie wpatrując się w sufit przedziału. Nie było żadnych haczyków, ani innych możliwości powieszenia, czy schowania ubrań. Musiała włożyć wszystkie swoje rzeczy z powrotem do torby. Hank uśmiechnął się w duchu, starannie ułożył swoje spodnie i marynarkę na walizce, zanim położył się do łóżka.

— Nie chrapiesz, mam nadzieję? — powiedział konwersacyjnym tonem.

Nie było odpowiedzi.

— Ani nie chodzisz we śnie?

— Nie jest pan wcale zabawny, panie Stevenson.

— I to właśnie lubię w tym kraju — stwierdził Hank. — Postępowość. Dalece wyprzedzającą Zachód. Do licha, wstydliwość to reakcyjny

kapitalistyczny anachronizm. Wsadzić ich wszystkich razem do łóżka, właśnie tak zawsze mówiłem. — Roześmiał się.

— Och, zamknij się — odparła Char. Ale potem ona również się roześmiała. — Tak prawdę mówiąc, to chyba nie ma w tym nic złego. W Stanach jesteśmy w tych sprawach wiktoriańsko pruderyjni.

Hank jęknął.

— A więc to tak. Gdyby u nas kompania kolejowa zasugerowała ci żebyś spędziła noc w przedziale sypialnym z obcym mężczyzną, pozwałabyś ich do sądu. Ale tu, w tym twoim kraju obiecanym, wszystko jest w porządku.

Po chwili ciszy, Char spytała:

— Hank, dlaczego tak bardzo nie lubisz Związku Radzieckiego?

— Dlaczego? Ponieważ jestem Amerykaninem!

Powiedziała to tak delikatnie, że niemal niesłyszalnie:

— Znamy się już od tygodnia. Jakoś nie wydajesz mi się tak naprawdę człowiekiem, który mógłby wygłosić tak nieadekwatne stwierdzenie.

Hank odparł:

— Posłuchaj, Char. Między Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami a blokiem sowieckim, toczy się zimna wojna. Ja jestem po naszej stronie. Wygra tylko jedna strona.

— Nie, to nieprawda, Hank. Jeśli to kiedykolwiek przerodzi się w gorącą wojnę, przegrają obie. Chyba że przybysze z kosmosu wprowadzą jakieś nowe elementy całej do tej paskudnej sytuacji.

— Rozważmy to od innej strony. Dlaczego ty jesteś prosowiecka.

Uniosła się na jednym łokciu i popatrzyła na niego groźnie z góry, przez krawędź swojego łóżka. Hank przekręcił się w drugą stronę, żeby spojrzeć na jej niezwiązane rude włosy i poważne zielone oczy. Wyobraził sobie, że patrzy na tę twarz nad stołem śniadaniowym, przez resztę swojego życia. Do diabła z południowoamerykańskimi senioritami.

Char oznajmiła żarliwie:

— Wcale nie jestem. Cholera jasna, Hank, czy świat nie może być czymś więcej, niż tylko zlepkiem państw, zachowujących się jak Indianie i kowboje? Nasza wiedza naukowa i przemysł rozwinęły się w końcu do tego poziomu, że świat mógłby stać się rajem. Rozwiązaliśmy wszystkie problemy produkcji. Pokonaliśmy wszystkie główne choroby. Przed nami stoją cuda wieczności – a popatrz tylko na nas.

— Powiedz to Ruskim i ich kumplom. To oni wsadzają kij w szprychy.

— No cóż, a my tego nie robiliśmy?

— Stany Zjednoczone nie próbują przejąć panowania nad światem.

— Nie? Może nie w starym tego słowa znaczeniu, ale czy nie próbujemy desperacko sponsorować naszej formy rządów i systemu społecznego, wszędzie gdzie tylko się da? Szczerze mówiąc, nie jestem ani prozachodnia, ani prosowiecka. Uważam, że obie strony się mylą.

— Świetnie — stwierdził Hank. — Jaką więc masz propozycję rozwiązania sytuacji?

Przez dłuższą chwilę milczała. W końcu oznajmiła:

— Nie twierdzę, że mam jakieś propozycje rozwiązania sytuacji. Ale świat zmienia się jak szalony. Nauka, technika, produkcja przemysłowa,

edukacja, liczba ludności – wszystko to rośnie jak na drożdżach. Twierdzenie, że w krajach zachodnich nie następują gruntowne i fundamentalne zmiany, jest po prostu nonsensowne. Instytucje naszego własnego kraju ledwie przypominają te posiadane przez nas, kiedy byłam dzieckiem. A z pewnością Związek Radziecki również się zmienił, i zmienia się nadal w porównaniu z tym, co było trzydzieści, czterdzieści lat temu.

— Posłuchaj, Char — stwierdził z irytacją Hank — nadal nie wyszłaś z jakąś próbą odpowiedzi na zimną wojnę.

— Mówiłam ci, że żadnej nie mam. Wszystko, co mówię, to tylko tyle, że rzygać mi się już od tego chce. Jak głęboko sięgnę pamięcią w przeszłość, zawsze była zimna wojna. I im bardziej się nad nią zastanawiam, tym bardziej idiotycznie ona wygląda. Obecnie, Stany Zjednoczone i ich sojusznicy wydają między jedną trzecią a połową swojego dochodu narodowego brutto na wojskowość – ha! wojskowość! — i walkę z blokiem sowieckim w handlu międzynarodowym.

— No cóż — podsumował Hank. — Mnie również chce się od tego wszystkiego rzygać i również nie mam na to żadnego rozwiązania. Ale niech mnie diabli, żebym słyszał, by Ruscy potrafili jakieś zaproponować. A tak, między nami mówiąc, gdybym musiał wybrać między życiem w stylu sowieckim i naszym, wybrał bym nasz, każdego dnia i w każdej chwili na nowo.

Char nic nie odpowiedziała.

Hank dodał stanowczo:

— Kto wie, może przylot tych osobników z Konfederacji Galaktycznej postawi to wszystko na głowie.

Nadal nic nie mówiła i po dziesięciu minutach delikatny odgłos jej oddechu pogłębił się na tyle, że Hank wiedział, iż zasnęła. Leżał jeszcze przez pół godziny, w pełni zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie najbardziej pożądana przez niego kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał, śpi w tej chwili w odległości nie większej niż trzy stopy od niego.

Leningrad zamortyzował w oczach Henry’ego Kurana pierwsze wrażenie Moskwy. Chociaż, jeśli już coś zwróciło jego uwagę, to fakt, że standard życia i uroda miasta, były tu, w tej stolicy światowego komunizmu, jeszcze większe.

Przyjechali na Dworzec Leningradzki przy placu Komsomolskim wczesnym rankiem, witani przez przewodników Intouristu i czekające na nich autobusy.

Hank usiadł koło Char Moore, ciągle czując się po przeciwnej stronie dyskusji, po ich rozmowie poprzedniej nocy. Skinął głową w stronę prac przy jakimś wykopie, koło budynku stacji.

— I proszę. Kobiety wykonujące pracę fizyczną.

Char odparła:

— Pochodzę z zachodnich stanów. Nie robi to na mnie specjalnego wrażenia. Widziałeś kiedyś zbieraczy owoców, kopaczy ziemniaków, czy też jakichkolwiek innych wędrownych robotników rolnych? Nie ma cięższej

pracy od tego, a kobiety i dzieci, jeśli już o tym mówimy, wykonują u nas połowę z niej.

Popatrzył na mocno zbudowane, kobiety o kanciastych kształtach, pracujące ramię w ramię z mężczyznami, i stwierdził:

— A jednak, nadal mi się to nie podoba.

Char wzruszyła ramionami.

— A komu by się podobało? Im szybciej zbudujemy maszyny do wykonywania tej całej ciężkiej fizycznej harówki, tym lepszy stanie się świat.

Ku swemu zaskoczeniu, Hank uznał Moskwę za jedno z najładniejszych miast, jakie kiedykolwiek widział. Z pewnością teren w centrum, w okolicy Kremla, wypadał korzystnie w porównaniu z każdym innym miastem.

Autobusy przewiozły ich przez plac Lermontowa, dalej ulicą Kirowa do Nowej, a potem skręciły w lewo. Przewodnik Intouristu komentował podróż na bieżąco. Tutaj był sławny Teatr Bolszoj, a tam plac Swierdłowa, radzieckie centrum kulturalne.

Hank wtedy tego nie wiedział, ale ominęli plac Czerwony. Objechali go dokoła, o jedną przecznice dalej i wjechali w ulicę Gorkiego, zatrzymując się przez budynkiem z okresu wiktoriańskiego.

— Grand Hotel — zaanonsował przewodnik, — w którym państwo zamieszkają podczas pobytu w Moskwie.

Pół tuzina tragarzy zaczęło ściągać ich bagaże z dachu autobusu. Wprowadzono ich do holu i przydzielono pokoje. Hole w rosyjskich hotelach, były odrębną sprawą. Żadnych stoisk z pamiątkami, gońców hotelowych, tabliczek oznajmiających „Do baru", „Fryzjer Męski", czy jakichkolwiek innych. Hotel, to hotel, i kropka.

Hank podążał śladem Loo, Paco i trzech bagażowych na drugie piętro, do pokoju przydzielonego wspólnie trzem turystom. Podobnie jak pokoje w Astorii w Leningradzie, miał on ogromne rozmiary. Prawdę mówiąc, bez trudu można byłoby go podzielić na trzy pomieszczenia. Znajdowały się w nim cztery pełnowymiarowe łóżka, sześć foteli, dwie sofy, dwie toaletki, monstrualne biurko – i jedna umywalka, która bulgotała kiedy puściło się wodę.

Paco, trzymając się pod biodra, rozglądał się dokoła.

— Sala balowa — stwierdził. — Panowie, ten pokój nie zmienił się od czasu kiedy jakiś Wielki Książę zatrzymał się w nim, przed rewolucją.

Loo, który przyjął swą zwykłą pozycję horyzontalną na jednym z łóżek, dodał:

— Z tego co słyszałem o warunkach mieszkaniowych Moskwy, takiej ilości miejsca nie ma przeciętna rodzina.

Hank, właśnie wkładał ubrania do szuflady kredensu.

— I kto tu teraz wygłasza antysowieckie komentarze?

Paco roześmiał się w jego stronę.

— Czy widziałeś kiedyś jak się mieszka w dystrykcie Harlem, w Nowym Jorku? Wynajmuje się łóżko w pokoju, w którym może być nawet i dziesięć łóżek, na okres ośmiu godzin. Kiedy twoje osiem godzin się kończy, zostajesz z niego wyrzucony i ktoś inny zajmuje twoje miejsce.

Dzięki temu łóżka pracują na trzy zmiany przez całe dwadzieścia cztery godziny.

— Myślą że jestem łysą kobyłą. Niedługo zajeżdżą mnie na śmierć.

Paco roześmiał się ponownie i zatarł ręce ze szczęścia.

— Jeszcze ciągle jest wcześnie. Do lunchu nie mamy nic do roboty. Sugeruję, żebyśmy się ruszyli i spojrzeli na rosyjskie dziewczyny. Nigdy nie wiadomo.

Loo odparł:

— Jako alternatywę, proponuję, żebyśmy do lunchu odpoczęli.

Paco parsknął.

— Prawdziwy trockistowski rabuś i w dodatku imperialistyczny podżegacz wojenny.

Loo powiedział ze śmiertelnie poważną twarzą.

— Uśmiechaj się, kiedy to mówisz, przybyszu.

Hank zawołał:

— Hej, poczekajcie.

Przeszedł przez pokój do okna po przeciwnej stronie, i wybałuszył oczy. Jedną przecznicę dalej, na końcu ulicy Gorkiego, znajdował się Plac Czerwony. Sobór Wasyla Błogosławionego, na jego dalszym krańcu, niewiarygodnie pocztówkowa konstrukcja fantastycznych spiralnych, wielokolorowych kopuł jego wieżyczek; czerwone marmurowe mauzoleum, Mekka światowego komunizmu, mieszczące proroka Lenina i jego dwóch uczniów; po przeciwnej stronie długi, szary budynek domu towarowego GUM. Ale nie o to mu chodziło.

Na samym placu, spoczywając w kącie między Soborem Wasyla i mauzoleum przycupnęło coś, czego Henry Kuran mimo wszystko tak naprawdę nie spodziewał się ujrzeć, pomimo otrzymanego zadania, pomimo wszystkich dzienników, wiadomości i przekazów telewizyjnych, pomimo wszystkich tych świadczących o czymś przeciwnym faktów. Miał kształt bumerangu, spoczywał na krótkich podporach, łącznie – sześciu, był koloru jasnego pastelowego błękitu – niewiarygodnie pięknego jasnego, pastelowego błękitu.

Statek kosmiczny.

Paco stał koło niego po jednej stronie, Loo po drugiej.

Tym razem w słowach Paco nie było słychać żartobliwego tonu.

— Oto są — powiedział. — Nasi goście z gwiazd.

— Może nasi nauczyciele z gwiazd — ochryple odparł Hank.

— Albo nasi sędziowie. — Głos Loo brzmiał bezbarwnie.

Stali w milczeniu przez pięć kolejnych minut. W końcu Loo oznajmił:

— Bez wątpienia, później podczas naszego pobytu, przewodnicy z Intouristu zabiorą nas bliżej, jeśli to jest dozwolone. Tymczasem, moi drodzy przyjaciele, skorzystam z okazji do odpoczynku.

— Chodźmy, rzućmy okiem na miasto — zaproponował Hankowi Paco. — Kiedy pojawią się przewodnicy z Intouristu, nieźle nas przegonią. Szczerze mówiąc, niewiele mnie obchodzi gdzie padły pierwsze strzały rewolucji, najnowsza fabryka traktorów, czy też gdzie Rasputin dostał po głowie. Są zdecydowanie ważniejsze rzeczy.

— Wiemy — stwierdził Loo z łóżka. — Kobiety.

— Zgadza się!

Hank zastanawiał się czy wyjść z pokoju, czy zostać. Mieli skontaktować się z nim stiliagi. Gdzie? Kiedy? Oczywiście, będzie potrzebował ich pomocy. Zupełnie nie miał pojęcia, jak przedostać się do emisariuszy z innej planety.

Mówił po rosyjsku. Świetnie. I co z tego? Czy miał może tak po prostu podejść sobie do statku kosmicznego i zapukać do drzwi? Albo może powinien się niebezpiecznie odsłonić, podchodząc do niego trochę bliżej niż teraz?

Kiedy stał teraz, czuł się względnie bezpiecznie. Był pewien, że Ruscy przydzielili mu etykietkę dosyć typowego Amerykanina. Bóg wie, że ciężko na to pracował. Zwykły, przeciętny turysta, z tych trochę zbyt otwarcie mówiących, ale nawet nie jakoś szczególnie złotousty.

Jednak nie zdziała zbyt wiele, tylko siedząc w pokoju. Wątpił żeby stiliagi skontaktowali się z nim przez telefon, albo pukając do jego drzwi.

— Ok, Paco — powiedział. — Ruszajmy. Na poszukiwania wystrzałowej dziewczyny – w moskiewskim stylu.

Zeszli na dół do holu, a potem ruszyli w stronę drzwi.

Jeden z przewodników Intouristu, który przywiózł ich ze stacji, stał koło schodów.

— Wybieracie się na spacer, panowie? Sugeruję przejść się ulicą Gorkiego do centrum handlowego.

Paco odparł:

— A co pan powie na wycieczkę na Plac Czerwony, żeby obejrzeć statek kosmiczny?

Przewodnik wzruszył ramionami.

— Wątpię, czy strażnicy pozwolą panom bliżej do niego podejść. Nie można przeszkadzać galaktycznemu poselstwu do Związku Radzieckiego.

Był to jakiś sposób na określenie sytuacji, ponuro pomyślał Hank. *Galaktyczne poselstwo do Związku Radzieckiego*. Nie na Ziemię, ale do Związku Radzieckiego. Zastanawiał się, co neutralne kraje, takie jak Indie, mogły o tym pomyśleć.

Ale przynajmniej na niego i Paco nie nałożono żadnych restrykcji.

Poszli ulicą Gorkiego, gęsto wypełnioną tłumem przechodniów. Ludzie na zakupach, oglądający wystawy, mężczyźni polujący na dziewczyny, dziewczyny polujące na mężczyzn, Iwan wraz z żoną, którzy zabrali dzieciaki na przechadzkę, sprzątacze ulic realizujący nigdy niekończące się zadanie utrzymywania moskiewskich ulic w stanie najczystszym na świecie.

Paco pokazał coś Hankowi, Hank pokazał coś Paco. Jakoś wydawało się to czymś więcej, niż wizytą w którymkolwiek innym zachodnioeuropejskim kraju. To była Moskwa. To był łeb sowieckiego węża.

I wtedy Hank zobaczył dwójkę grających w berka dzieci, szaleńczo się goniących, w dorosłym świecie długich spokojnie kroczących nóg, które pieczołowicie uważały żeby się o nie nie przewróciły. Zaczął śmiać się w

duchu z samego siebie. Mógł to sobie być łeb węża, ale ludzie w Moskwie wyglądali zdumiewająco podobnie do tych z Portland w Maine, czy z Portland w Oregonie.

— Co powiesz o tych dwu, które idą w naszą stronę? — spytał Paco.

Te dwie, które szły w ich stronę, była to para ubranych lepiej niż przeciętnie dziewczyn, które miały gdzieś tak trochę ponad dwudziestkę. Nieco zbyt mocny makijaż, jak na standardy zachodnie, i niezbyt dobrze zrobiony.

— Blondynki — oznajmił z entuzjazmem Paco.

— Tutaj wszystkie, to blondynki — zauważył Hank.

— Czyż to nie cudowne?

Dziewczyny przechodząc koło nich, uśmiechnęły się, i Paco obejrzał się za nimi, ale nie zatrzymały się. Hank i Paco poszli więc dalej.

Rozgryzienie systemu Paco, nie zajęło Hankowi zbyt wiele czasu. Był on cudownie prosty. Po prostu uśmiechał się szeroko do każdej dziewczyny, która przechodziła koło nich. Jeśli odpowiedziała uśmiechem, zatrzymywał się i próbował nawiązać z nią rozmowę.

Spotkało go kilka niepowodzeń, ale – Hank przypomniał sobie stary żart – z drugiej strony uzyskał całkiem niezłe efekty.

Zanim pokonali spacerkiem półtorej przecznicy, stanęli na rogu, próbując rozmawiać z dwójką młodych ludzi z Moskwy – oczywiście rodzaju żeńskiego. I tutaj znowu, Paco okazał się wspaniały. Języki, którymi władał, były to ewidentnie hiszpański, angielski i francuski, ale dokonywał cudów, żonglując językiem, którego cały słownik składał się z *Da* i *Niet*, przynajmniej jeśli o niego chodziło.

Hank stał nieco z tyłu, próbując nie wypaść ze swej roli, ale z rozbawioną konsternacją obserwował oratorskie popisy swego towarzysza.

Paco oznajmił:

— Posłuchaj, myślę, że uda mi się namówić te dwie, żeby poszły z nami do pokoju. Którą z nich byś wolał?

Hank odparł:

— Jeśli pójdą z nami do pokoju, to są profesjonalistkami.

Paco uśmiechnął się do niego.

— Ja też jestem profesjonalistą. Zawodowym prawnikiem. To tylko kwestia różnych profesji.

Mijający ich przechodzień w średnim wieku, powiedział do dziewcząt po rosyjsku:

— Czy wy nie macie wstydu przed zagranicznymi turystami?

Nawet nie uznały za konieczne, aby mu odpowiedzieć. Paco powrócił do swojej próby dobicia umowy z wyższą z nich.

Niższa, która śmiała się zdumiewająco dużymi i niebieskimi oczyma, oznajmiła Hankowi po rosyjsku:

— A ty jesteś za dobry, żeby rozmawiać z metrofanuszką?

Hank zmarszczył brwi w zdumieniu.

— Nie znam rosyjskiego — odparł.

Roześmiała się lekko, niemalże zachichotała i takim samym przyciszonym głosem, jakim jej partnerka zwracała się do Paco, powiedziała:

— Myślę, że pan zna, panie Kuran. Jutro po południu, proszę wykręcić się od wycieczki, na którą będą was chcieli zabrać ludzie z Intouristu i przespacerować się koło Parku Radzieckiego. — Zachichotała ponownie. Powszechne w całym świecie uosobienie podrywanej na ulicy dziewczyny.

Hank przyjrzał jej się dokładniej. Miała może dwadzieścia pięć lat. Spódniczka, którą nosiła, prawdopodobnie była rosyjska, wyglądała na mocną i trwałą, ale sweter uszyty był z jednej z nowych amerykańskich tkanin. Buty chyba były również zachodnie, najnowsze rozwiązanie z usztywnioną piętą. Typowa stiliagi lub metrofanuszka, jak uznał. Poza jedną rzeczą – jej oczy były zimne i czujne, znacznie bardziej inteligentne niż w przypadku zwykłego ulicznego zestawu.

Paco zawołał go.

— Jak myślisz, Hank? Ta chce wrócić razem ze mną do hotelu.

— Romeo, Romeo — westchnął Hank, — czemóż ty nie myślisz, gdzie jesteś.

Paco wzruszył ramionami.

— A co za różnica? Buenos Aires, Nowy Jork, Moskwa. Kobiety są kobietami.

— A mężczyźni są najwyraźniej mężczyznami — stwierdził Hank. — Rób, jak chcesz.

— Ok, przyjacielu. Czy mógłbyś przez pewien czas nie wracać do pokoju?

— O mnie możesz się nie martwić, ale będziesz musiał pozbyć się jakoś Loo, a on nie przespał dzisiaj jeszcze swoich osiemnastu godzin.

Paco już trzymał swoją dziewczynę pod rękę.

— Wyturlam go na korytarz. Nawet się nie obudzi.

Dziewczyna Hanka wykrzywiła się w jego stronę, wydymając wargi, wzruszyła ramionami jakby śmiejąc się z tego, że została odrzucona, i rozpłynęła się w tłumie. Hank wsadził ręce do kieszenie i ruszył w dalszą przechadzkę.

Kontakt z podziemiem, został nawiązany.

Utrzymując swoją przykrywkę amerykańskiego turysty, zaszedł do kilku sklepów, kupił sobie parę bursztynowych broszek po okazyjnej cenie, przekartkował kilka napisanych po angielsku książek w międzynarodowej księgarni. Jedna rzecz nim mocno wstrząsnęła. Księgarnie były wypełnione ludźmi. Ceny były bardzo niskie, i ludzie dużo w nich kupowali. Prawdę mówiąc, jeszcze nie widział kraju tak pełnego ludzi, którzy coś czytali i czegoś się uczyli. Uginały się pod nimi ławki w parku, czytali kiedy jechali tramwajem lub autobusem, czytali nawet idąc ulicą. Poczuł niepokojące wrażenie, że złota młodzież stanowiła niewielką mniejszość, że tutaj problem młodocianych przestępców nie stanowił nawet ułamka tego na, co się działo Zachodzie.

Spodziewał się, że będzie śledzony. Prawdę mówiąc, intrygowało go to od czasu gdy Sherridan Hennessey przydzielił mu to niechciane zadanie. Jak miał się skontaktować z tym tak zwanym podziemiem, jeśli był

obserwowany tak ściśle, jak zawsze kazano mu wierzyć, że w Rosji są pilnowani ludzie z Zachodu?

Jednak przypomniał sobie ich wycieczkę z przewodnikiem, po muzeum Ermitaż w Leningradzie. Przewodnik z Intouristu wyruszył z grupą dwudziestu pięciu ludzi i przez całe popołudnie, kwoczył nad nimi, jak nad pisklętami. Jednak, pomimo gorączkowych wysiłków, żeby utrzymać ich razem, wrócił tego wieczora do Hotelu Astoria, z ośmiorgiem zagubionych – włączając w to Hanka i Loo, którzy poszli gdzieś na piwo.

Pomysł, że KGB mogłoby przydzielić ogony dziesiątkom tysięcy turystów, kłębiących się po ulicach Moskwy i Leningradu, należało traktować raczej w kategoriach śmiesznych. Poza tym, jakie tajemnice mógłby znać turysta, albo jakie mógłby odkryć?

W każdym bądź razie, Hank nie napotkał na żadne przeszkody w swoich wędrówkach. Celowo unikał Placu Czerwonego i stojącego na nim statku, nie chcąc ryzykować ściągnięcia na siebie uwagi. Poza tym miejscem, poruszał się swobodnie.

W południe, zjedli posiłek w Grandzie i przewodnik z Intouristu naszkicował im program na popołudnie, który obejmował ogólną wycieczkę po mieście, prowadzącą od Uniwersytetu, do moskiewskiego Parku Kultury i Wypoczynku, odpowiednika Coney Island.

Loo spytał:

— Wszystko to wygląda na bardzo męczące, czy będziemy mieli czas na krótką drzemkę, przed wyjściem?

— Obawiam się, że nie, panie Motlamelle — odpowiedział mu przewodnik.

Paco pokręcił głową.

— Widziałem już uniwersytet, widziałem stadion sportowy i widziałem mnóstwo posągów i pomników. Raczej chyba sobie tę wycieczkę przesiedzę.

— Ja myślałem, że będę mógł ją przeleżeć — powiedział Loo. Poskarżył się żałośnie Hankowi: — Wiesz co się stało dzisiaj rano, kiedy uciąłem sobie drzemkę w naszym pokoju?

— Tak — odparł Hank. — Byłem razem z naszym argentyńskim Casanovą, kiedy ją poderwał.

Hank wybrał się na wycieczkę z przewodnikiem, razem z resztą grupy. Ponieważ miał zamiar wymknąć się z podobnej następnego dnia, mniej będzie zwracało uwagę, jeśli weźmie udział w dzisiejszej. Poza tym, da mu to pełniejszy obraz okolicy.

Tak samo następnego dnia pojechał na wycieczkę poranną, do fabryk samochodów na obrzeżach miasta. Minęło już może z piętnaście lat, od czasu kiedy Hank oglądał Detroit, ale wątpił czy w jego kraju automatyzacja posunęła się aż tak daleko, jak zdawała się tutaj. Chyba że było to tylko miejsce pokazowe. Ale aż zesztywniał na tę myśl. Była to jedna z popularnych w świecie zachodnim postaw, których nie potrafił zaakceptować – lekceważenie sowieckiego postępu. Stanowiła ona główną

przyczynę, prowadzącą do takich wstrząsów, jak te które miały miejsce po wystrzeleniu pierwszych Sputników. Za niedocenianie przeciwnika, wcześniej czy później zawsze trzeba zapłacić.

Sowieci wreszcie zbudowali machinę produkcyjną równie wielką jak inni. Być może nawet większą. W samym tonażu osiągali wyższy produkt naturalny brutto, niż Zachód. Nie była to właściwa chwila na to, aby ich niedoceniać.

Wszystko to było szczególnie interesujące dla agenta polowego z departamentu Mortona Twombly'ego, pracującego przeciwko Sowietom w dziedzinie handlu międzynarodowego. Zaczynał przynajmniej rozumieć, jak Komuchy mogli sprzedawać swoje produkty po tak śmiesznie niskich cenach. Automatyzacja znacznie przewyższająca wszystko, co było dostępne na Zachodzie. W bloku sowieckim związki zawodowe nie miały możliwości, blokowania wprowadzania ultra-efektywnych metod, a przerosty zatrudnienia powstające na skutek ich działania, nie występowały. Jeśli praca rosyjskiego robotnika ulegała automatyzacji i nie mógł jej dalej wykonywać, był on przenoszony do innej fabryki, innej pracy, a nawet mógł zostać nauczony nowego zawodu. W przeciwieństwie do tego, amerykańskie związki zawodowe robiły co tylko mogły, żeby pracę tę dla niego obronić.

Hank Kuran przypominał sobie, że kilka miesięcy temu czytał o brytyjskiej firmie tekstylnej, która próbowała wdrożyć całą linię nowych zautomatyzowanych maszyn. W odpowiedzi uderzyły w nią związki i firma musiała zrezygnować z projektu. Co się stało z maszynami? Sprzedano je do Chin!

Wypełniając polecenia swojego kontaktu z podziemia, wymówił się od popołudniowej wycieczki, podobnie zresztą jak i kilkunastu innych uczestników. Zwiedzanie Moskwy było równie wyzywającym zadaniem dla nóg, jak i każdego innego miasta.

Po lunchu, wyszukał Park Radziecki na mapie turystycznej miasta. Był on dosyć blisko. Zaledwie parę przecznic dalej ulicą Gorkiego.

Okazał się on dosyć typowy. Dobrze zaprojektowany, jeśli chodzi o fontanny, pomniki i ogrody. Nieźle wyposażony w parkowe ławki. Wczesnym popołudniem, na pewno nie można było nazwać go pustym, ale nie był aż tak wypełniony, jak będzie przed wieczorem.

Hank zatrzymał się koło jednego z licznych stoisk z zimnymi napojami, gdzie za kilka kopiejek można było kupić sok malinowy zmieszany z wodą sodową. Kiedy sączył swój napój, obok niego pojawił się nastolatek i powiedział w akceptowalnym języku angielskim:

— Przepraszam, czy pan jest turystą?

Zdarzało się to już wcześniej. Kolejny dzieciak, ćwiczący swój szkolny angielski.

— Zgadza się — odparł Hank.

Chłopiec spytał:

— Nie jest pan może radioamatorem, co? — Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni jakąś kartę. — Jestem UA3-KAR.

Przez moment Hank spoglądał na niego pustym wzrokiem, ale potem rozpoznał kartę radioamatora krótkofalowca, którą pokazywał mu rozmówca.

— Och, radioamatorem. No cóż, ja nie jestem, ale mam kuzyna, który się tym zajmuje.

Pojawiło się dwu kolejnych młodych ludzi.

— Jaki jest jego sygnał wywoławczy?

Hank nie pamiętał go. Wszyscy razem wylądowali na ławce a chociaż niewiele wiedział na ten temat, kwestia międzynarodowej amatorskiej łączności radiowej, została poddana szczegółowej dyskusji. W ciągu piętnastu minut otoczyło go może z kilkunastu entuzjastów krótkofalarstwa i miał już właśnie zdecydować się, że chyba czas wymyślić jakąś wymówkę i zacząć ponownie krążyć po okolicy, szukając kontaktu ze stiliagi. Próbował właśnie wymyślić jakichś pretekst, żeby otrząsnąć się z młodych ludzi, kiedy siedzący koło niego chłopak przeszedł z powrotem na rosyjski.

— Teraz już jesteśmy czyści, panie Kuran.

Hank zaklął.

— Niech mnie diabli. Nie miałem pojęcia…

Jego rozmówca zignorował banały. Przyglądając mu się dokładniej, Hank dostrzegł, że był on starszy, niż wynikałoby to z pierwszej oceny. Miał może jakieś dwadzieścia dwa lata. Ciemniejszy, niż większość z pozostałych, mocniej zbudowany, ostry i niecierpliwy.

— Może pan nazywać mnie Georgij — oznajmił. — Pozostali z nas osłonią nas przed innymi, żeby nikt nam nie przeszkadzał. A teraz, powiedziano nam, że wy, Amerykanie, potrzebujecie jakiejś pomocy. Jakiej? I dlaczego mielibyśmy jej wam udzielić?

Hank odparł, zatroskany.

— Nie macie jakiegoś ustronnego miejsca, do którego moglibyśmy pójść? Gdzie mógłbym spotkać się z którymś z waszych przywódców? To ważna sprawa.

— Inaczej, nie byłoby mnie tutaj — niecierpliwie rzucił Georgij. — Jeśli już o tym mówimy, to u nas nie ma żadnych przywódców. Nie mamy rang; jesteśmy prawdziwą demokracją. I obawiam się, że dni tajemnych pomieszczeń w jakichś piwnicach, są przeszłością. Przy obecnej sytuacji mieszkaniowej, nawet gdyby w Moskwie znalazła się pusta piwnica, zaraz by się do niej wprowadziła jakaś rodzina. I niech pan pamięta, że wszystkie budynki są własnością państwa, i ono nimi zarządza. Obawiam się, że będzie pan musiał opowiedzieć mi wszystko tutaj. Tak więc, czego pan potrzebuje.

— Potrzebuję możliwości spotkania z emisariuszami Konfederacji Galaktycznej.

— Po co?

— Żeby przekazać im naszą wersję spraw, wersję Zachodu… no cóż, kontrowersji między nami i blokiem sowieckim. Potrzebujemy możliwości przekazania im naszego zdania, zanim zostaną zawarte jakieś trwałe traktaty.

Georgij zastanowił się nad tym.

— Tak myśleliśmy, że pewnie chodzi o coś podobnego — wymamrotał. — Co według pana to da?

— Przynajmniej działania opóźniające. Jeżeli przybysze z kosmosu rzucą na szalę swoje znaczenie, swój rozwój naukowy, po stronie bloku sowieckiego, Zachód przegra zimną wojnę. Każdy neutralny kraj na świecie, przyłączy się do orkiestry. Handel międzynarodowy, źródła surowców naturalnych, odejdą w przeszłość. Bez jednego wystrzału, w ciągu jednej nocy, staniemy się drugorzędną siłą.

Georgij przez długie chwile nic nie odpowiadał. Jakiś nowy młody człowiek podszedł do grupy, ale jeden ze stojących na obrzeżu warknął coś do niego, i tamten szybko się oddalił. Ewidentnie, stwierdził Hank, wszyscy z tej kilkunastoosobowej grupy młodych ludzi, związani byli z podziemiem złotej młodzieży.

— No dobrze, chce pan, żebyśmy panu pomogli w konflikcie między rządem sowieckim i Zachodem — oznajmił w końcu Georgij. — Czemu mielibyśmy to zrobić?

Hank spojrzał na niego, marszcząc brwi.

— Jesteście ruchem antyrządowym. Jesteście rewolucjonistami i chcecie obalić rząd sowiecki.

Jego rozmówca odpowiedział mu niecierpliwie.

— Niech pan nie doszukuje się w naszej organizacji czegoś, czego w niej nie ma. Nie istniejemy dla pańskiej korzyści, lecz dla naszej własnej.

— Ale chcecie obalić komunistów i ustanowić demokratyczne…

Georgij machnął niecierpliwie ręką.

— Słowo „demokratyczne" było tak często nadużywane w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia, że obecnie stało się już niemal pozbawione znaczenia. Proszę posłuchać, my chcemy obalić obecny rząd sowiecki, ale to wcale nie znaczy, że chcemy ustanowić rząd wzorowany na waszym. Jesteśmy Rosjanami. Nasze problemy są rosyjskie. Większości z nich nawet pan nie zna – nie bardziej niż nam znane są wasze, amerykańskie.

— Ale, chcecie zniszczyć komunistów? — napierał Hank.

— Tak — warknął Georgij — ale to wcale nie musi oznaczać, że chcemy byście to wy wygrali w zimnej wojnie, jak ją pan nazwał. Tylko dlatego, że jesteśmy przeciwko rządowi komunistycznemu, to wcale nie znaczy, że podoba nam się wasz. Ale, co do jednego ma pan rację. Jeśli Konfederacja Galaktyczna udzieli pełnego poparcia biurokracji sowieckiej, może wzmocnić ją do tego stopnia, że pozostanie ona u władzy na trudny do określenia czas.

Hank dostrzegł sposobność.

— Zgadza się. Wtedy, nigdy ich nie obalicie.

— Z drugiej strony — wymruczał Georgij zakłopotany — nie jesteśmy zainteresowani w dawaniu wam, Amerykanom, sposobności, która umożliwiłaby wam rozerwanie całej tkaniny tego kraju i jego sojuszników.

— Posłuchaj mnie — powiedział Hank. — W Stanach zdaje się, że zaskakująco mało wiemy o waszym ruchu. Powiedz mi, co wy właściwie spodziewacie się osiągnąć.

— Tak w skrócie mówiąc, chcemy cieszyć się owocem ofiar ponoszonych przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Jeśli przypomina pan sobie waszego Marksa — w tym miejscu wykrzywił twarz z kwaśnym rozbawieniem — to jego idea polegała na tym, że państwo miało zanikać kiedy zostanie ustanowiony socjalizm. Zamiast jednak zanikać, stawało się ono coraz silniejsze. Było to usprawiedliwiane przez wczesnych bolszewików w całkiem rozsądny sposób. Socjalizm zakłada wysoce uprzemysłowioną gospodarkę. Jego istnienie nie było możliwe w prymitywnym, ani nawet feudalnym społeczeństwie. Tak więc nasza komunistyczna biurokracja, musiała pozostawać w siodle przez cały okres przejściowy. Jej zadaniem była industrializacja krajów radzieckich, w ciągu kilku dekad, podczas gdy ten sam proces zajął państwom kapitalistycznym wiek lub dwa.

Georgij wzruszył ramionami.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem o klasie rządzącej, która by z własnej woli oddała raz zdobytą władzę, nieważne od tego jak niekompetentna by ona nie była.

Hank zauważył:

— Nie nazwałbym rządu sowieckiego niekompetentnym.

— A więc, myliłby się pan — odparł jego rozmówca. — Postępu dokonano często wbrew biurokracji, a nie dzięki niej. W początkowym okresie nie było to takie oczywiste, ale w miarę jak rozwijaliśmy rządy politycznej biurokracji, stawały się one coraz większą przeszkodą. Politycy nie mogą zarządzać przemysłem, ani nie powinni nadzorować laboratoriów. Zakres w jakim nasi naukowcy i technicy są kontrolowani przez polityków, odpowiada zakresowi w jakim jesteśmy spowalniani w naszym rozwoju. Z pewnością słyszał pan o sprawie Łysenki?

— To on wywiódł anty-Mendlowską teorię genetyki, piętnaście czy dwadzieścia lat temu.

— Zgadza się — parsknął Georgij. — Nabyte cechy mogły być przekazywane w drodze dziedziczenia. Pozbycie się jej zajęło Akademii Nauk Rolniczych co najmniej dekadę. Dlaczego? Ponieważ jego teorie pasowały do przekonań politycznych Stalina. — Jego rozmówca z podziemia ponownie parsknął.

Hank miał wrażenie, że dryfują coraz dalej od tematu rozmowy.

— A więc, chcecie obalić komunistyczną biurokrację?

— Tak, ale to tylko część prawdy. Obalenie jej bez czegoś co mogłoby zastąpić biurokrację, to kiepski pomysł. Nie jesteśmy zainteresowani powrotem do Rosji Carskiej, nawet gdyby to było możliwe, a nie jest. Chcemy skorzystać z tych lat ogromnych ofiar, a nie zniszczyć wszystko. Z utęsknieniem wyczekujemy dnia, w którym rządy polityków staną się przeszłością. — Zdawał się zmieniać temat. — Czy pamięta pan książkę Dilasa „Nowa klasa”, którą napisał w jednym z więzień Tito?

— Mgliście. Czytałem omówienia. To był w Stanach bestseler jakiś czas temu.

Georgij wykonał kolejne ze swoich charakterystycznych parsknięć.

— To był bestseler tutaj, w kręgach podziemnych. W każdym razie, ona wiele wyjaśnia. Nasza biurokracja, nieważne jakie ideały mogły towarzyszyć jej początkom, rozwinęła się sama z siebie w nową klasę. Rosja poświęca się aby wyprzedzić Zachód – ale nasi biurokraci, nie. W czasach Lenina, komisarz zarabiał tyle samo co przeciętny robotnik, ale dzisiaj mamy biurokratów równie bogatych jak zachodni milionerzy.

Hank stwierdził:

— Oczywiście, to są wasze problemy. Nie mam zamiaru udawać, że mam ich jasny obraz. A jednak, wydaje mi się że mamy wspólnego wroga. I właśnie teraz, zdaje się on otrzymywać pewne wsparcie, które go poważnie wzmocni. Sugeruję, byście współpracowali ze mną, w nadziei że uda się to udaremnić.

Po raz pierwszy na twarzy młodego Rosjanina pojawiło się coś bliskiego uśmiechowi.

— Zabawna sytuacja. Mamy tu rosyjską organizację rewolucyjną, poświęconą idei likwidacji rosyjskiego państwa komunistycznego. Na dokładkę, współpracuje ona z agentem z państwa kapitalistycznego. — Jego uśmiech wyraźnie się poszerzył. — Podejrzewam, że ani Włodzimierz Lenin, ani Karol Marks nigdy nie wyobrażali sobie nawet takiej kombinacji.

Hank odparł:

— Nie mam pojęcia, mój marksizm nie jest specjalnie zaawansowany. Niestety, kiedy chodziłem do szkół, kręgi akademickie nie skłaniały się zbytnio w tym kierunku. — Odpowiedział Rosjaninowi krzywym uśmieszkiem.

Co tylko ponownie pobudziło jego rozmówcę.

— Kręgi akademickie! — parsknął. — Sterylne w obu naszych krajach. Wszyscy profesorowie ekonomii w krajach sowieckich są marksistami. Z drugiej strony, żaden profesor amerykański, nigdy by się do tego nie przyznał. Zbieg okoliczności? Przypuśćmy, że jakiś nauczyciel amerykański byłby przekonanym marksistą. Czy mógłby uczciwie i otwarcie uczyć swoich przekonań? A czy Rosjanin by mógł? Mógłby? — Georgij plasnął w kolano ciężką dłonią i wstał. — Porozmawiam z kilkoma innymi osobami. Damy panu znać.

Hank zatrzymał go.

— Poczekaj. Ile czasu to zajmie? I czy będziecie mogli mi pomóc, jeśli tego zechcecie? Gdzie są przybysze spoza Ziemi?

Georgij opuścił na niego wzrok.

— Są na Kremlu. Jak mocno ich pilnują, nie wiem, ale możemy się tego dowiedzieć.

— Kreml — powtórzył Hank. — Miałem nadzieję, że zostali w swoim statku.

— Wieść niesie, że zostali zakwaterowani w Bolszom Kremlowskom Dworcu, Wielkim Pałacu Kremlowskim. Skontaktujemy się z panem później… może. — Wsadził ręce do kieszeni i odszedł powoli, wyglądając dokładnie jak kolejny człowiek, który przechadzał się bez żadnego określonego celu.

Jeden z młodszych chłopców, ten który jako pierwszy podszedł do Hanka, uśmiechnął się i zaproponował:

— Czy moglibyśmy jeszcze trochę porozmawiać o radiu?

— Taaa — wymamrotał Hank. — Wspaniale.

Kolejny etap nadszedł szybciej, niż Henry Kuran się tego spodziewał. Prawdę mówiąc, zanim jeszcze pozostali wrócili ze swej popołudniowej wycieczki do miasta.

Hank siedział rozwalony w ogromnym, wyściełanym fotelu, obracając w myślach w kółko te niewiele rzeczy, nad którymi mógł pracować. Podstawowe decyzje, jakie należało podjąć, obejmowały przede wszystkim jak długo powinien czekać na informację o pomocy stiliagi oraz, jeżeli jej nie otrzyma, jakie kroki podjąć na własną rękę. Ta druga perspektywa zabiła mu niezłego klina, Nie miał najmniejszego pojęcia, co mógłby osiągnąć w pojedynkę.

Nie był nawet pewien, gdzie znajdowali się obcy. W Bolszom Kremlowskom Dworcu, jak powiedział Georgij. Ale czy tak było naprawdę, a jeśli nawet, to gdzie był ten Bolszoj Kremlowskij Dworec i jak można się do niego dostać? No i, jeżeli już o tym mowa, to jak w ogóle dostać się w obręb murów Kremla?

Pod nosem przeklinał Sheridana Hennesseya. Jak mógł dać się wpuścić w coś takiego? Pod względem wszelkich możliwych kryteriów, jego misja odpowiadała rozpaczliwemu chwytaniu się brzytwy przez tonącego. Skąd niby, na przykład, miał wiedzieć czy dotarł już do emisariuszy z kosmosu, żeby mógł się z nimi chociaż skomunikować.

Złapał się na tym, że żałuje iż nie jest z powrotem w Peru aby wykłócać się z południowymi Amerykanami o relatywną wartość towarów bloku amerykańskiego i sowieckiego – a potem roześmiał się sam z siebie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Hank podniósł się ze zmęczeniem na nogi, podszedł do drzwi i je otworzył.

Nadal miała zbyt mocny makijaż, amerykański sweter i buty z usztywnioną piętą. A jej oczy były ciągle chłodne i czujne. Prześlizgnęła się obok niego i szybko obrzuciła wzrokiem cały pokój.

— Jest pan sam? — powiedziała po rosyjsku, ale zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie, a nie pytanie.

Hank zamknął za nimi drzwi. Groźnie na nią popatrzył, przyłożył palec do ust, a potem wykonał całą skomplikowaną pantomimę, pokazującą że szuka mikrofonu. Popatrzył na nią z uniesionymi brwiami.

Roześmiała się i pokręciła przecząco głową.

— Nie ma tu żadnych mikrofonów.

— Skąd pani wie?

— Wiemy. Mamy kontakty, tutaj w hotelu. Gdyby KGB chciało umieścić mikrofony w pokoju każdego turysty w Moskwie, musieliby zwiększyć ich liczbę dziesięciokrotnie. Pomimo waszych zachodnich mitów na ten temat,

nie zrobili tego. Są pewne wyjątki, oczywiście, ale muszą być jakieś powody, żeby je zastosować.

— Być może, to właśnie ja jestem tym wyjątkiem. — Hankowi nie podobała się ta myśl. Ludzie z CIA byli raczej zdania, że KGB podjęło ponownie szczegółowe kontrole każdego przybysza.

— Panie Kuran, gdyby KGB było na pańskim tropie, to może pan od razu dać sobie spokój. Pańska misja już zakończyła się porażką.

— Pewnie tak. Czy zechce pani usiąść? Wypije pani drinka? Mój kolega z pokoju ma butelkę Stolicznej, którą wziął ze sobą ze statku.

W jej oczach pojawił się błysk rozbawienia, nawet pomimo tego, że pokręciła głową.

— Pański przyjaciel, Paco, jest prawdziwym mężczyzną – jak rozumiem. Ale nie, jestem tutaj w interesach.

Wybrała jeden z foteli, a Hank zasiadł w innym, naprzeciw niej.

— Komitet podjął decyzję, aby wam pomóc, na ile będzie mógł.

— Doskonale. — Hank nachylił się do przodu.

— Jutro, pańska grupa z Progressive Tours ma mieć wycieczkę z przewodnikiem po muzeum kremlowskim, Dzwonnicy Iwana Wielkiego i Soborze Uspienskim.

— Na Kremlu?

Zareagowała niecierpliwie.

— Kreml jest znacznie bardziej rozległy, niż większość przybyszów z Zachodu zdaje się myśleć. Oryginalnie, to było całe miasto. Mury Kremla mają ponad dwa kilometry długości. Obejmują one znacznie więcej, niż tylko biura rządowe. Między innymi, na Kremlu jest jedno z największych muzeów i pewnie najobszerniejsze na świecie.

— Chodziło mi o to, czy z powodu pobytu emisariuszy z kosmosu, wycieczki ciągle się odbywają?

— Odbywają się. Wstrzymanie ich byłoby zbyt widocznym gestem, nawet gdyby były po temu jakieś powody. — Zmarszczyła brwi i pokręciła głową. — Tylko dlatego, że znajdzie się pan w obrębie Kremla, proszę sobie nie wyobrażać, że będzie pan mógł usiąść przybyszom spoza Ziemi na kolanach. Prawdopodobnie są oni dobrze strzeżeni w pałacu. Nie wiemy do jakiego stopnia.

Hank spytał:

— A więc, w jaki sposób możecie mi pomóc?

— Tylko w ograniczonym zakresie. — Wyciągnęła z torebki złożony papier. — Tutaj jest mapa Kremla, a tutaj Pałacu. Obie datują się z czasów carskich, ale takie rzeczy jak generalny układ Kremla i Bolszoj Kremlowskij Dworec, oczywiście, nie zmieniły się.

— Wiecie gdzie są przybysze spoza Ziemi?

— Nie jesteśmy pewni. Pałac został zbudowany w siedemnastym wieku i był popularny wśród różnych carów. Przez jakiś czas był on muzeum. Podejrzewamy, że posłowie z Konfederacji Galaktycznej zostali zakwaterowani w Sobstwiennoj Plowinie, która stanowiła część prywatnych apartamentów Mikołaja Pierwszego. Jest raczej pewne, że narady prowadzone są w sali Georgiewskiej; to największe i najbardziej reprezentacyjne pomieszczenie na Kremlu.

Hank wpatrywał się w dwie mapy, czując pewną konsternację.
Dodała ze zniecierpliwieniem.
— Możemy panu pomóc w większym zakresie. Jeden z przewodników-strażników przy fasadzie prowadzącej do głównego wejścia do pałacu, jest członkiem naszej grupy. Tutaj ma pan instrukcje.
Kolejne piętnaście minut spędzili omawiając szczegóły, potem dziewczyna zerknęła szybko na zegarek i podniosła się na nogi.
— Czy wszystko jasne… towarzyszu?
Hank zmarszczył lekko brwi, słysząc to słowo, ale natychmiast zrozumiał.
— Myślę, że tak, i dziękuję… towarzyszko.
Zarówno on jak i ona rozumieli to określenie w jego oryginalnym znaczeniu.
Podszedł za nią do drzwi, ale zanim zdążył dotknąć klamki, otworzyły się one do środka. Stał w nich Paco, a za nim, w korytarzu, widać było Char Moore.
Dziewczyna szybko odwróciła się do Hanka, zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go w usta i powiedziała po angielsku:
— Do widzenia, misiaczku.
Mrugnęła do Paco, przemknęła koło Char i zniknęła.
Paco popatrzył za nią z podziwem, a potem ponownie skierował wzrok na Hanka i stwierdził:
— Ach, ha. Pomimo wszystko jednak jest z ciebie pies na baby, co?
Twarz Char Moore była zupełnie pusta. Wymamrotała coś w rodzaju „No to na razie”, kierując te słowa zdawałoby się do obydwu z nich i poszła do swojego pokoju.
Hank zaklął:
— Niech to diabli.
Paco zamknął za sobą drzwi.
— O co chodzi, drogi przyjacielu? — uśmiechnął się szeroko. — Czyżbyś próbował działać jednocześnie na dwu frontach?

Poranna wycieczka poświęcona była Placowi Czerwonemu i Kremlowi. Zaraz po śniadaniu, wspólnie z dwiema czy trzema innymi grupami turystów, uformowali kolumnę, i pomaszerowali żwawo w stronę gdzie ulica Gorkiego przechodziła w Plac Czerwony. Pierwszym miejscem docelowym było mauzoleum, oparte o mur Kremla, umieszczone na środku placu i służące dla bloku sowieckiego jako połączenie Watykanu, Lhasy i Mekki. Zbudowane z ciemnego, czerwonego porfiru, było obiektem najbliższym ultranowoczesnemu budownictwu, jaki Hank widział w Moskwie.
Jako zagraniczni turyści, zostali zabrani na początek kolejki, która już rozciągała się wokół Kremla, ulicą Mochową wzdłuż zachodniego muru. Kolejki tysięcy ludzi.
Kiedy drzwi się otworzyły, kolejka ruszyła szybko. Weszli do środka, parami, po jakichś schodach i korytarzem w którym nagle zrobiło się

zimno, jakby był chłodzony. Paco stojący za Hankiem, powiedział kątem ust:

— Za chwilę poznamy tajniki balsamowania. Ciekawe, czy oni będą wisieć na hakach rzeźnickich?

Kolejka dotarła nagle do pomieszczenia, pośrodku którego stały trzy szklane sarkofagi. Trzy ciała, proroka i dwóch jego najważniejszych uczniów, po bokach. Lenin, Stalin, Chruszczow. Z ich twarzy, jak stwierdził Hank, można było wyczytać wiele na temat ich charakteru. Lenin, idealista i uczony. Stalin, absolutnie bezwzględny organizator. Chruszczow, energetyczny zarządca tego, co zbudowało dwóch pierwszych.

Przebywali w sali z ciałami nie dłużej niż dwie minuty, wychodząc przez drzwi po przeciwnej stronie. Kiedy znaleźli się ponownie na świetle dziennym placu, Paco uśmiechnął się do niego:

— Wołodia i Joe nie wyglądali zbyt dobrze, ale Nikita trzyma się całkiem nieźle.

Wędrówka w tą i z powrotem po Placu Czerwonym, miała dosyć zabawny przebieg. Przewodnik pokazywał to i owo. Ale przez cały czas wszyscy mieli oczy wlepione w statek kosmiczny, stojący w głębi placu koło Soboru Wasyla Błogosławionego. W pewien sposób nie wydawał się on bardziej obcy, niż znaczna część jego otoczenia. Z pewnością nie był czymś bardziej obcym dla znanego Hankowi świata, niż Sobór Wasyla Błogosławionego.

Był to jednak statek, który przyleciał z odległych gwiazd. Człowiek ciągle wykręcał z wysiłkiem głowę, aby lepiej go widzieć; żeby jeszcze wyraźniej zdać sobie sprawę ze znaczenia faktu samego jego pojawienia się na Ziemi. Statek kosmiczny z emisariuszami Konfederacji Galaktycznej.

O ile wszystko byłoby prostsze, gdyby wylądował on w Waszyngtonie, Londynie, albo nawet Paryżu, czy Rzymie, a nie tutaj.

Unikali zbliżania się do niego, chociaż Rosjanie nie pilnowali ich zbyt ostentacyjnie. Teren wokół statku odgrodzony był sznurem i w obrębie tego wydzielonego obszaru kręciło się ze dwudziestu strażników. Ale miejscowi obywatele, ewidentnie byli zdyscyplinowani. Nie było widać ogromnych tłumów, wiszących na sznurach, czekających na możliwość zerknięcia na celebrytów z obcej planety.

Tym niemniej, przewodnik z Intouristu prowadził grupę wyznaczoną trasą, nie podprowadzając swych podopiecznych zbyt blisko do niego. Wrócili po swoich śladach na Plac Maneżowy, z którego rano wyszli zwiedzać mauzoleum, a potem skręcili w lewo przez Ogrody Aleksandrowskie, rozpościerające się wzdłuż zachodniej strony Kremla, dochodząc do Baszty Borowickiej twierdzy, od strony rzeki Moskwy.

Paco stwierdził:

— Po tym zwiedzaniu, mam zamiar w imieniu wszystkich uczestników zgłosić petycję, aby naszego przewodnika uhonorować medalem Bohatera Intouristu. Zauważyliście, że jak do tej pory zgubił spośród nas tylko dwie osoby?

Niektórym z pozostałych nie podobała się jego lekkoduszność. Właśnie wyszli z Komunistycznej Świątyni i takie sardoniczne uwagi były według

nich niezbyt na miejscu. Ale Paco Rodriquez gdyby potrafił zachować więcej powagi, nie byłby Paco Rodriquesem

Dziewczyna stiliagi miała rację, mówiąc że Kreml jest jednym wielkim muzeum. Obejmował on ewidentnie także budynki rządowe, ale przede wszystkim było na nim pełno soborów o złotych dachach, fantastycznych miejsc przekształconych na galerie sztuki i sale wystawowe pełne klejnotów i bogactw z dawnych lat, grobowców dziesiątków carów, włączając Iwana Groźnego.

Podążyli do Zbrojowni Kremlowskiej, wchodząc przez ozdobny hol wejściowy, pełen starej broni i sztandarów.

Paco pełen szczęścia podpuszczał znękanego przewodnika.

— Doskonała robota. Zajmuje się pan nami od ponad dwóch godzin. Zaczęliśmy z dwudziestoma pięcioma osobami w grupie i ciągle pozostało dwadzieścia jeden. Typowe. Co się stanie z turystą, który będzie błądził po Kremlu i wyląduje przez pomyłkę w biurze jakiegoś ważnego człowieka?

Przewodnik uśmiechnął się blado.

— A tutaj mamy trony cesarzowej Elżbiety i cara Pawła.

Niepostrzeżenie Hank zaczął przesuwać się w stronę końca grupy. Spędził dłuższy czas przyglądając się dwom srebrnym panterom, darowi królowej Anglii, Elżbiety Pierwszej, dla Borysa Godunowa. Grupa Progressive Tours przeszła do następnej komnaty.

Strażnik stojący koło gabloty zapytał:

— Pan Kuran?

Nie unosząc wzroku, Hank skinął głową.

— Proszę pójść za mną, powoli.

W zasięgu wzroku nie było nikogo z grupy Progressive Tours. Hank powędrował za strażnikiem, po drodze przyglądając się dla niepoznaki gablotom wystawowym. W końcu jego przewodnik skręcił w pusty i stosunkowo wąski korytarz. Zatrzymał się i poczekał na Amerykanina.

— Pan nazywa się Kuran — zapytał z niepokojem po rosyjsku.

— Zgadza się.

— Nie boi pan się?

— Nie. Chodźmy. — W myślach Hank warknął: „Oczywiście, że się boję. Czy wyglądam jak jakiś przeklęty bohater?” Jak to powiedział Sheridan Hennessey? To była walka, walka w stylu zimnej wojny, ale jednak walka. Oczywiście, że się bał. Czy jakikolwiek uczestnik jakiejkolwiek bitwy w historii, nie czuł strachu?

Szli energicznie korytarzem. Strażnik spytał go:

— Czy zapoznał się pan z mapami?

— Tak.

— Nie odsłaniając się sam, mogę pana doprowadzić tylko niewiele dalej. Potem zdany pan będzie na własne siły. Musi pan znać te mapy, inaczej zgubi się pan. Te stare pałace to labirynty…

— Wiem — z niecierpliwością przerwał mu Hank. — Proszę mi krótko powiedzieć, którędy będziemy szli. Tak na wszelki wypadek.

— Doskonale. Wychodzimy ze Zbrojowni Kremlowskiej tymi podrzędnymi drzwiami. Naprzeciwko, po naszej prawej ręce, jest Bolszoj Kremlowskij Dworec, Wielki Pałac Kremlowski. To właśnie tam spotyka się Komitet Centralny, oraz Zgromadzenie. Ta sama sala używana była w dawnych czasach przez carów jako sala tronowa. Od naszej strony, na parterze znajduje się Sobstwiennaja Plowina, dawne prywatne apartamenty Mikołaja Pierwszego. Przybysze spoza Ziemi są właśnie tam.

— Jest pan pewien? Inni nie byli pewni.

— Do tej pory mieszkali właśnie tam.

— Jak możemy się do nich dostać?

— My nie możemy. Mogę pana doprowadzić tylko niewiele dalej. Wejście frontowe jest silnie strzeżone, musimy wejść do Wielkiego Pałacu od tyłu, poprzez Pałac Teremnoj. Pamięta pan mapy, które pan dostał?

— Myślę, że tak.

Wyszli pośpiesznie z muzeum poprzez główny dziedziniec. Hank szedł z prawej strony i krok z tyłu za nieumundurowanym strażnikiem.

Jego towarzysz wędrówki powiedział:

— Teremnoj zbudowany był przed Wielkim Pałacem. Jedna z jego ścian stała się tylną ścianą tej ostatniej budowli. Można do niego wchodzić, dosyć swobodnie.

Do budynku dostali się przez kolejne mniejsze drzwi, położone o sto stóp lub nawet nieco więcej, od głównego wejścia, weszli po krótkich, marmurowych schodach i skręcili w prawo, idąc zdobnym korytarzem, obwieszonym gobelinami. Mijali sporadycznie innych nieumundurowanych strażników, z których żaden nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi.

Przeszli przez trzy połączone pokoje, bogato umeblowane w siedemnastowiecznym stylu, gęsto obwieszone obrazami. Przewodnik szybko doprowadził ich do niewielkich drzwi.

Oznajmił niemal wyzywającym tonem:

— Ja dalej nie idę. Po przejściu przez te drzwi znajdzie się pan w Wielkim Pałacu, w łazience apartamentów Katarzyny Drugiej. Pamięta pan otrzymane mapy?

— Tak — potwierdził Hank.

— Mam nadzieję. — Strażnik zawahał się. — Jest pan uzbrojony?

— Nie. Obawialiśmy się, że moje rzeczy mogą zostać dokładnie przeszukane. Gdyby znaleziono przy mnie broń, byłby to koniec mojej misji.

Strażnik wyciągnął ciężki wojskowy rewolwer i wysunął go w jego stronę, rękojeścią do przodu.

Ale Hank pokręcił przecząco głową.

— Dzięki. Ale jeśli dojdzie do sytuacji, w której będę potrzebował broni – to już przegrałem. Jestem tutaj aby rozmawiać, a nie strzelać.

Strażnik skinął głową.

— Może ma pan rację. A teraz, jeszcze raz. Po drugiej stronie drzwi znajduje się łazienka w apartamentach carycy. Za nią jest paradnaja diwannaja, jej garderoba, a dalej Jekaterińskaja sala, sala tronowa Katarzyny Drugiej. W tych pomieszczeniach, najprawdopodobniej nikogo nie będzie. Dalej, nie wiem.

Zakończył gwałtownym „Powodzenia”, odwrócił się i pośpiesznie odszedł.

— Dzięki — rzucił za nim Hank Kuran. Odwrócił się i nacisnął na klamkę. Stwierdził w myślach: — *No dobrze, Kuran. Hennessey powiedział, że masz reputację człowieka potrafiącego samodzielnie myśleć. A więc, zacznij myśleć. Jak do tej pory, wszystko co musiałeś zrobić, to wymieniać kiepskie dowcipy z bandą pro-komuszych krytyków Stanów Zjednoczonych. Teraz, kości zostały rzucone*.

Apartamenty zmarłej dawno temu carycy były puste. Prześlizgnął się przez nie, wychodząc do znajdującego się za nimi korytarza.

I zatrzymał się jak wryty.

W połowie holu nad umundurowanym bezwładnym ciałem, kucał Loo Motlamelle. Uniósł wzrok, słysząc zbliżającego się Hanka Kurana Zaskoczony, osaczony wojownik. Odciągnięte do tyłu wargi napięły mu się na zębach. Czarny kciuk przesunął coś w broni, którą trzymał w dłoni.

Hank spytał gardłowym tonem:

— Nie żyje?

Loo pokręcił głową, jego oczy zachowywały chłodną czujność.

— Nie, tylko go uśpiłem.

Hank pytał dalej:

— Co ty tutaj robisz?

Loo wyprostował się.

— Jak mi się wydaje, najwyraźniej dokładnie to samo co i ty.

Ale ciemna metalowa broń w jego ręku, spoczywał niedbale w pozycji gotowej do strzału, a jego oczy były zimne, bardzo zimne. Frank zdał sobie sprawę, że banjo na urlopie, było gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Ten gibki wojownik spytał go z napięciem:

— Wiesz, gdzie jesteśmy? Gdzie dokładnie jesteśmy? Ja nie jestem pewien.

Hank odparł:

— W korytarzu koło Sobstwiennoj Plowiny w Bolszom Kremlowskim Dworcu. Carskie apartamenty prywatne. Jak tutaj się dostałeś?

— Ciężko było — delikatnie stwierdził Loo. Jego oczy śmigały w obie strony, wzdłuż korytarza. — Nie mam pojęcia, dlaczego nie ma tu większej liczby strażników. Nie podoba mi się to. Jesteś uzbrojony?

— Nie — odparł Hank.

Loo popatrzył z uśmiechem na swoją broń.

— Ktoś tu pewnie popełnia błąd, ale obu nam udało się zajść tak daleko. Przy okazji, jestem z Bezpieczeństwa Wewnętrznego Commonwealthu. Ty jesteś z CIA, co? Mów szybko, Hank, albo od tej chwili działamy razem, albo będę musiał coś z tobą zrobić.

— Specjalna misja dla prezydenta — wyjaśnił Hank. — Jakim cudem nie rozpoznaliśmy się wcześniej?

Loo uśmiechnął się ponownie z dezaprobatą.

— Najwyraźniej dlatego, że jesteśmy dobrymi pracownikami operacyjnymi. Jeśli dobrze kombinuję, to pozaziemscy przybysze są gdzieś tu w środku.

Hank ruszył korytarzem. Nie było czasu dochodzić przyczyn i powodów misji Loo. Muszą być one mniej więcej takie same, jak jego własne.

— Są w prywatnych apartamentach, gdzieś w tym kierunku — powiedział przez ramię. — Musieli ich zakwaterować...

Drzwi wyjściowe z korytarza otworzyły się i stanął w nich wysoki, cienki, zabawnie ubrany człowiek...

Hank zreflektował się szybko, zarówno mentalnie, jak i fizycznie. To nie był człowiek. Był niemal człowiekiem – ale nie.

Broń Loo była już gotowa do strzału.

Przybysz nieśpiesznie powiódł wzrokiem od jednego do drugiego z nich. Potem opuścił spojrzenie na rosyjskiego strażnika, leżącego za nimi na podłodze.

Powiedział po rosyjsku:

— Zawsze ta przemoc. Ponura przemoc. W obliczu kryzysu, groźba przemocy stawia w gorszej pozycji. Wasza rasa musi się wiele nauczyć. — Przeszedł na angielski. — Ale prawdopodobnie to jest panów język, zgadza się?

Loo wpatrywał się w niego. Człowiek z kosmosu miał niemal tak ciemną karnację, jak Murzyn.

Przybysz spoza Ziemi zrobił krok w jedną stronę i wskazał na znajdujący się za nim pokój.

— Proszę, wejdźcie panowie. Zakładam, że przybyliście tutaj, szukając nas.

Weszli do zdobnej sypialni.

Przybysz spoza Ziemi spytał:

— Czy ten człowiek nie żyje?

— Nie. Tylko jest ogłuszony — odparł Loo.

— Nie potrzebuje pomocy?

— Przez godzinę lub nieco dłużej, nic nie będzie w stanie mu pomóc. Potem, pewnie będzie miał potężny ból głowy.

Pozaziemski przybysz potrafił nawet uzyskać ton suchości w swoim głosie.

— Jestem zdumiony waszym bezsensownym zachowaniem. — Usiadł na krześle przed barokowym biurkiem. — Bez wątpienia zadali sobie panowie ogromny trud, aby przedostać się do tego miejsca. Jestem członkiem delegacji międzyplanetarnej. Czego panowie sobie życzą?

Hank popatrzył na Loo, otrzymał w odpowiedzi lekkie skinięcie głową, i rozpoczął swoją przemowę. Kosmita nie próbował mu przerywać.

Kiedy Hank skończył, przybysz spoza Ziemi zwrócił swój wzrok na Loo.

— A pan?

Loo odparł:

— Ja reprezentuję raczej Brytyjską Wspólnotę Narodów, a nie Stany Zjednoczone, ale moje cele odnośnie kontaktu z wami są identyczne. Rząd Jej Królewskiej Mości chętnie widziałby możliwość konsultacji z wami, zanim podpiszecie jakieś wiążące umowy z blokiem sowieckim.

Obcy powiódł wzrokiem od jednego do drugiego. Jego twarz, jak stwierdził Hank, miała lincolnowskie cechy, była tak brzydka, że aż piękna w swym nieskończonym smutku.

— Musicie nas uważać za niewiarygodnie naiwnych — oznajmił kosmita.

Hank spojrzał groźnie. Przyzwyczaił się szybko do inności ambasadora z kosmosu, zarówno pod względem ubioru i cech fizycznych, ale było w nim coś irytującego… Zorientował się o co chodzi. Czuł się tak samo jak kilka dziesiątek lat temu, kiedy zaprowadzono go przed oblicze dyrektora szkoły za jakieś naruszenie szkolnej dyscypliny.

Hank zauważył:

— Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na myślenie. Byliśmy zdesperowani.

Obcy powiedział:

— Wpadliście w poważne kłopoty. Jestem nawet w stanie podziwiać wasze zdecydowanie. Pewnie zainteresuje panów wiadomość, że jutro zabieramy statek do Pekinu.

— Pekinu? — beznamiętnie powtórzył Loo.

— Za kolejne dwa tygodnie, lecimy do Waszyngtonu, a potem do Londynu. Co doprowadziło wasze rządy do wniosku, że narody radzieckie przyciągnęły całą naszą uwagę, a wy zupełnie żadnej?

Hank wyrzucił z siebie:

— Ale wylądowaliście tutaj. Nie nawiązaliście z nami żadnego kontaktu.

— Wielkość naszej ekspedycji jest ograniczona. Nie możemy robić wszystkiego na raz. Blok sowiecki, jak go nazywacie, jest największym państwem na Ziemi i najwyżej rozwiniętym. Był oczywistym wyborem na nasz pierwszy przystanek. — Spojrzał Hankowi prosto w oczy. — Pan jest Amerykaninem. Czy wie pan dlaczego zostaliście z tyłu w marszu postępu?

— Nie jestem pewien, czy rzeczywiście zostaliśmy — stanowczo stwierdził Hank. — Chodzi panu, w porównaniu z blokiem sowieckim?

— Dokładnie. A jeśli tego nie widzicie, to chyba jesteście ślepi. Pozostaliście z tyłu na mnóstwie pól, ponieważ jakąś dekadę temu, w waszej mierze lat, między rokiem 1957 i 1960, podjęliście katastrofalną decyzję. Zaniepokojeni rosyjskim postępem, podjęliście kampanię zwalczania rosyjskiej nauki. Zaczęliście uczyć swoją młodzież, by walczyć z rosyjskim postępem.

— Musieliśmy to zrobić!

Obcy chrząknął.

— Wręcz przeciwnie, to co powinniście zrobić, to spróbować przewyższyć rosyjskie osiągnięcia naukowe, technologiczne i przemysłowe. Gdybyście postąpili w ten sposób, moglibyście pozostać przodującym państwem świata, aż do czasu kiedy, w końcu, osiągnęlibyście jakiegoś rodzaju jedność planety. Podejmując decyzję o walce z rosyjskim postępem, staliście się siłą opóźniającą, celowo odwlekającą rozwój waszego gatunku, mającą na celu raczej szkodzenie i ograniczanie, niż rozwój i wzrost. Sposobem na zwycięstwo w wyścigu nie jest podkładanie nogi przeciwnikowi, lecz aby biec szybciej i wytrwalej niż on.

Hank wpatrywał się w niego.

Kosmita podniósł się z krzesła.

— Jestem zajęty. Wasze misje, panowie, zakładam że zostały zakończone z sukcesem. Widzieliście się z kimś z naszej grupy. Melodramatycznie ostrzegliście nas przed swoim wrogiem. Wasi przełożeni powinni być zadowoleni. A teraz pozwólcie, że wezwę przewodnika, który odprowadzi panów do waszych hoteli.

Większość pary zeszła z Hanka Kurana. Aż do tej chwili ciążące na nim napięcie było wyższe niż kiedykolwiek pamiętał w życiu. Teraz poczuł zupełną miękkość. Skinął głową, w odpowiedzi.

Loo westchnął, schował broń, którą przez cały czas trzymał w ręku, do kabury pod pachą.

— Tak — stwierdził bez związku. Odwrócił się i kwaśno popatrzył na Hanka Kurana. — Spędziłem większą część swojego życia na uczeniu się jak zostać ultra-efektywnym pracownikiem operacyjnym. Podejrzewam, że moja praca odchodzi w przeszłość.

— Mam wrażenie, że mnie to również dotyczy — przyznał Hank.

Rano grupa Progressive Tours miała w programie odwiedzenie kołchozu specjalizującego się w hodowli drobiu, na obrzeżach Moskwy. Kiedy zmierzali do autobusu, Hank zatrzymał się w biurze Intouristu w Grand Hotelu.

— Czy mogę wysłać depeszę do Stanów Zjednoczonych?

Elegancko ubrana dziewczyna z Intouristu odparła:

— Ależ, oczywiście.

Wręczyła mu formularz.

Szybko napisał:

SHERIDAN HENNESSEY
WASHINGTON, D. C.

MISJA WYKONANA
BARDZIEJ UDANIE NIŻ MOŻNA BYŁO SIĘ TEGO SPODZIEWAĆ.

HENRY KURAN

Dziewczyna sprawdziła szybko tekst.

— Ale pan nazywa się Henry Stevenson.

— Tak — odparł Hank — było kiedyś, kiedy byłem człowiekiem płaszcza i szpady.

Zamrugała i popatrzyła za nim, jak wychodzi z hotelu i wsiada do turystycznego autobusu. Znalazł wolne miejsce koło Char Moore i usiadł na nim.

Char oznajmiła miarowo:

— Ach, więc dzisiaj masz czas by oderwać się od swoich miłosnych pogoni i przyłączyć się do reszty z nas.

Uniósł brew w jej stronę. Zazdrość? Jego szanse były najwidoczniej lepsze niż się spodziewał.

— Miałem zamiar ci o tym opowiedzieć — odparł, — kiedy tylko będziemy sami.

— Hm-m-m — stwierdziła. A potem: — Jesteśmy w Rosji już od kilku dni. Co o niej myślisz?

Hank powiedział:

— Myślę, że jest tu całkiem nieźle. I mam takie dziwne przeczucie, że za kolejnych dziesięć lat, kiedy rozwinie się tu parę rzeczy, będzie jeszcze lepiej.

Popatrzyła na niego beznamiętnie.

— Naprawdę? Szczerze mówiąc, ja jestem trochę zawiedziona.

— No pewnie. Ale poczekaj aż zobaczysz nasz kraj za dziesięć lat. Wiesz, Char, ta nasza planeta właśnie ruszyła z kopyta.

KONIEC